

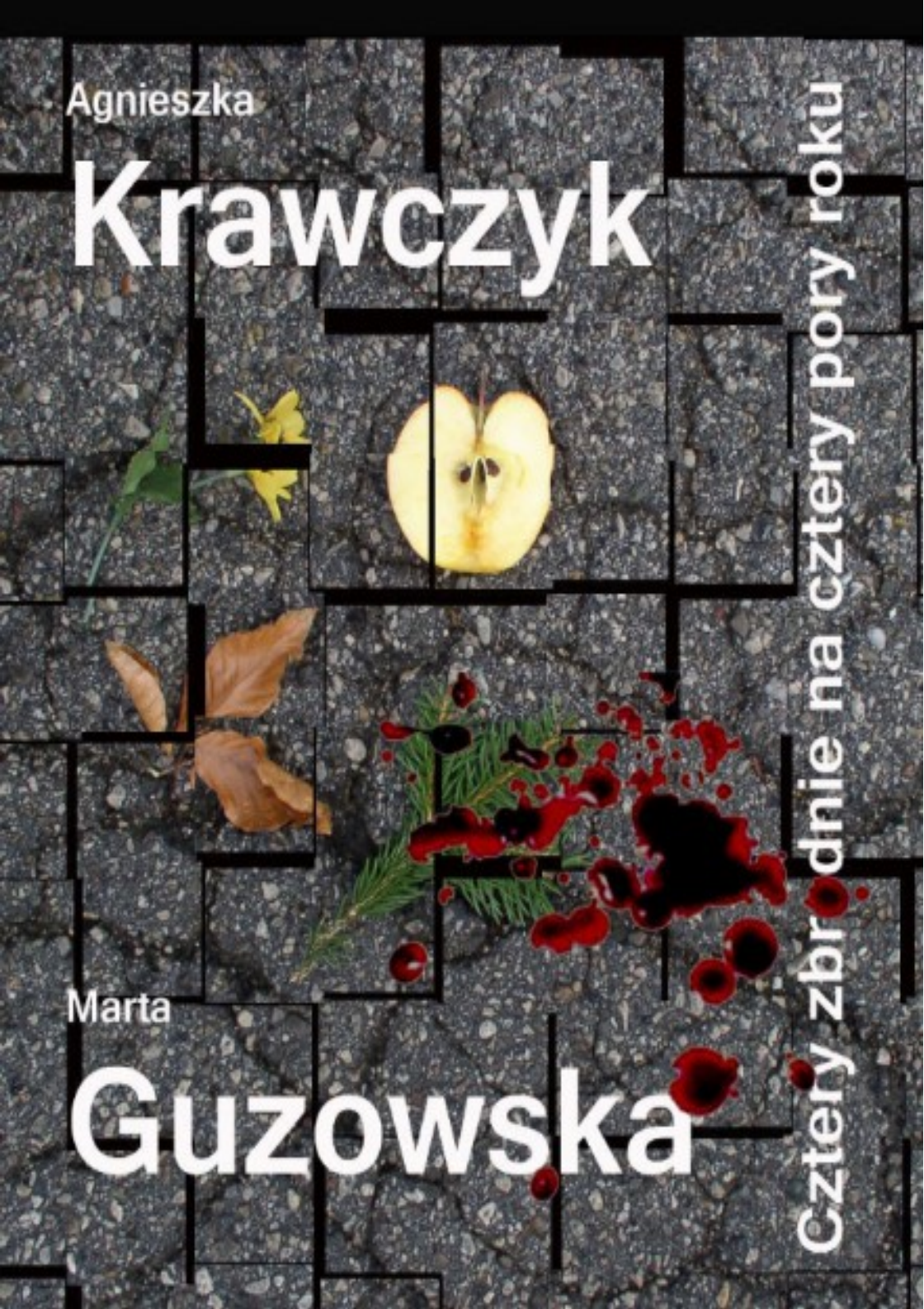
Agnieszka

Krawczyk

Marta

Guzowska

Cztery zbrodnie na cztery pory roku



Agnieszka Krawczyk
Marta Guzowska

Cztery zbrodnie na cztery pory roku



Zbrodnicze Siostrzyczki

Kraków, Wiedeń
2014

Projekt okładki/Zdjęcie na okładce
MARTA GUZOWSKA

Zdjęcia w tekście
MARTA GUZOWSKA

Zdjęcie Marty Guzowskiej:
Krzysztof Opaliński

Zdjęcie Agnieszki Krawczyk:
Julita Pajak

Projekt typograficzny
MARTA GUZOWSKA

Copyright© AGNIESZKA KRAWCZYK, MARTA GUZOWSKA, 2014

Redakcja, korekta
AGNIESZKA KRAWCZYK

Redakcja techniczna/Skład
MARTA GUZOWSKA

SPIS TREŚCI

WSTĘP

WIOSNA: DRZEWO SAMOBÓJCÓW, Agnieszka Krawczyk

LATO: KWESTIA CZASU, Marta Guzowska

JESIEŃ: WYJAZD INTEGRACYJNY, Agnieszka Krawczyk

ZIMA: ZIMNY PORANEK, Marta Guzowska

O AUTORKACH – AGNIESZKA KRAWCZYK

O AUTORKACH – MARTA GUZOWSKA

Wstęp

Tak, Drogi Czytelniku, wiemy, że nie sięgnąłeś po nasze opowiadania po to, żeby przedzierać się przez mętne słowa wstępne. Postaramy się streścić.

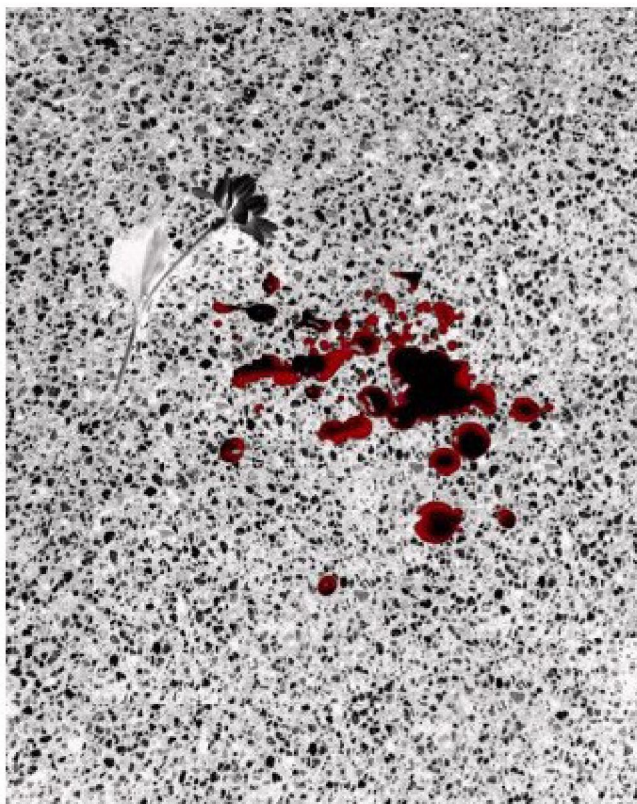
Po pierwsze: dziękujemy. Za to, że nam zaufałeś i zechciałeś poświęcić ciężko zarobione pieniądze i wydarty rodzinie czas, żeby spędzić z nami kilka godzin. Mamy nadzieję, że nie będziesz tego żałować.

Po drugie: jeśli, tak jak my, jesteś tropicielem ciemnych zakamarków ludzkich dusz, na pewno będziesz miał/miała przemyślenia po lekturze naszych opowiadań. Napisz nam o tym na adres: office@zbrodniczesiostrzyczki.pl. Najciekawsze refleksje opublikujemy na naszej stronie zbrodniczesiostrzyczki.pl

Po trzecie: te cztery opowiadania mają zaostrzyć Twój apetyt. Wkrótce kolejna odsłona zbrodni na każdą porę roku – będziemy dalej tropić morderstwa wiosenne, letnie, jesienne i zimowe. O pierwszych z nich przeczytasz już jesienią – bo nie ma lepszej rozrywki po urlopie niż dobrze wymyślone zabójstwo... Szukaj nas na Legimi.com, a informacji o dacie ukazania się opowiadań na zbrodniczesiostrzyczki.pl i na Facebooku www.facebook.com/zbrodniczesiostrzyczki

Po czwarte: to już wszystko. Trzymaj się mocno i, jeśli czytasz wieczorem, na wszelki wypadek zostaw na noc zapalone światło w przedpokoju. Pamiętaj, zbrodnia nie zna dnia ani godziny, może zdarzyć się o każdej porze roku...

Zbrodnicze Siostrzyczki:
Marta Guzowska i Agnieszka Krawczyk



Drzewo samobójców

Agnieszka Krawczyk

Krynica-Zdrój, maj 1954 roku

W ZAPADAJĄCYM SZYBKO zmierzchu trudno było rozróżnić twarze dzieci. Na pewno było ich pięcioro, najstarszy, może dwunastoletni chłopak, trzymał w jednej ręce książkę, a w drugiej latarkę, której blade światło padało na stronicę. Czytał, a właściwie recytował coś historycznym głosem; latarka w jego dłoni drżała, nikłym blaskiem oświetlając polanę pod drzewem. Wydobywała dziwne kształty, niepokojące formy gałęzi, korzeni i traw. Czwórka pozostałych dzieci, młodszych, stała w milczeniu blisko siebie, trzymając się za ręce. Trzy dziewczynki trzęsły się, szcękając zębami ze strachu. Ścisnęły swoje dłonie tak mocno, że bieleły im kostki, ale nie czuły bólu. Mały chłopiec, niezgrabna istota na krzywych nogach, wpatrywał się w recytującego z przerażeniem w oczach. Najstarszy chłopak wciąż podnosił głos, słowa, które wypowiadał były niezrozumiałe, a przez to przerażające. Czy mówił w obcym języku? Tak, ale był to język obcy wszystkim ludziom. Oderwane sylaby, dziwne westchnienia, piskliwe odgłosy.

Pozostała czwórka słuchała zafascynowana i przestraszona.

Nagle jedna z dziewczynek, ta najmniejsza, która trzęsła się najbardziej, upadła na ziemię i zaczęła wić się w konwulsjach. Chłopak z książką przestał mówić i oświetlił ją latarką. Drobnym ciałem dziewczynki wstrząsały dreszcze, wyglądała jak szmaciana lalka poruszająca się wedle nieznanych reguł. Uderzała głową na boki, jakby nie czując bólu, a przecież, już po chwili, na jej skroni pojawiła się krew. Druga dziewczynka, której jasna kretonowa spódnica w kropki, opalizowała w nocnym mroku, krzyknęła wysokim głosem i od razu zasłoniła usta ręką. Chłopcy patrzyli w milczeniu. Ta, która upadła, jeszcze chwilę wiała się na ziemi, nogi poruszały się jej spazmatycznie, na usta wystąpiła piana. Po dłuższej chwili znieruchomiała, wpatrując się niewidzącymi oczyma w niebo, na którym właśnie pojawił się

Księżyc i pierwsze gwiazdy.

Było cicho, nie poruszały się nawet liście na drzewach. Takie wieczory, noce, zdarzały się często po długich dniach majowych, gdy świat zastygał w zmęczeniu, jakby nie wierząc, że zapadła już noc i nadeszła pora odpoczynku.

Podeszli w milczeniu. Patrzyli na leżącą, ale nikt się nie odezwał. Nagle, jakby poruszeni tą samą myślą, odwrócili się i rzucili do ucieczki. Dziewczynki biegły razem, trzymając się za ręce. Upadła ta wyższa, o jasnobrązowych rozczochranych włosach, bo potknęła się o wystający korzeń, jej koleżanka, której opalizująca spódnica rysowała się bladą plamą w mroku, nawet się nie odwróciła, wypuściła rękę koleżanki i zniknęła w ciemnościach. Nadbiegający chłopiec, ten o pałkowatych nogach, dostrzegł białe podkolanówki leżącej dziewczynki, która zanosila się od śmiechu, nie zwracając uwagi na poranione kolana.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał niepewnie, bo jej śmiech, a właściwie dziki chichot brzmiał upiornie.

– Twarze... – powiedziała, nie przestając się śmiać. – Wszędzie widzę twarze... W gałęziach drzew, na ziemi, nawet w trawie. Niektóre są smutne, inne drwią ze mnie...

Z niepokojem popatrzył na nią. Słabo widział w tym półmroku, rozświetlonym jedynie księżycowym blaskiem, ale wydała mu się bardzo blada. Sinawe usta rozciągały się w fałszywy uśmiech kłowna. Przerażony rzucił się do ucieczki.

Drugi chłopiec, ten z książką, biegł sam, nie zwracając na tamtych uwagi. Długo pędzili krętym wyboistym traktem, prowadzącym w dół z Góry Parkowej w kierunku miasteczka.

Spotkali się przy dolnej stacji kolejki linowej. Oni dwaj i dwie dziewczynki, w tym ta blada, wciąż śmiejąca się histerycznie.

– Powinniśmy wrócić – powiedział młodszy chłopiec, zdyszany głosem. Tu na dole, gdy wyłonili się z lasu, to był już inny świat, bardziej normalny, oswojony. Widzieli domy przy Bulwarach Dielta, a właściwie migające światła w oknach. Zerwał się wiatr.

– Nie – powiedział ten z książką. – Nikomu o tym nie powiemy,

nie wrócimy. Widzieliście, co się z nią stało...

– Ale może ona żyje? – upierał się młodszy. Tamten pokręcił głową.

– Sam widziałeś jak wyglądała... – Na samo wspomnienie piany na ustach, powykręcane ciała i oczu jak wypolerowane czarne agaty wpatrzonych w przestrzeń, robiło się słabo. Młodszy chłopiec skulił ramiona i rozplakał się.

Chłopak z książką popatrzył na wszystkich surowo.

– Słuchajcie! Wiecie, co zrobiliby z nami milicja, gdyby ktoś się dowiedział... Nikomu nic nie powiemy... Ani o tym, co tu robiliśmy! Przysięgnijcie!

Ponieważ żadne z nich nie kwapiło się, by wypowiedzieć słowa przysięgi, szturchnął ich mocno.

– No! Powiedzcie to! I jeżeli ktoś z was puści farbę, to pamiętajcie – skończycie jak ona... I wasze rodziny też! – potrząsnął trzymaną w rękach książką, a oni przerażeni utkwili w niej wzrok. Dziewczynka w spódniczce w kropki przeżegnała się, a chłopak z książką roześmiał się dziwnym śmiechem przypominającym brzęczenie szkła.

– Przysięgam! – powiedział młodszy chłopiec, zawtórowała mu ta w spódniczce. Błada, wysoka dziewczyna wciąż milczała.

– No jazda! – znowu szturchnął ją ten najstarszy. – Teraz ty...

– Przysięgam – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Wydawał się zadowolony, poklepał ich po plecach.

– Nie martwcie się. Jutro rano na pewno znajdą ją ludzie spacerujący po parku... Najlepiej będzie jak w ogóle zapomnicie o tej sprawie...

Powlekli się do domów. Szli razem, ale każde z nich wędrowało osobno, pogrążone we własnych myślach i udrękach. Rozstali się przy Domu Zdrojowym.

– No, jazda do domu – przynaglił ich. – I w ogóle ani słowa!

„Ja nigdy nie zapomnę tego co zrobiłam” pomyślała wysoka dziewczynka, a dziwny ciężar spłynął na jej serce i nie miał jej opuścić przez kolejne sześćdziesiąt lat.

Krynica-Zdrój, maj 2013 roku

DOM SENIORA „Pod Sosnami” usytuowano przy Bulwarach Dietla, tuż nad potokiem Kryniczanka, w którego wartko płynącej wodzie odbijała się brązowa wieżyczka tego okazałego budynku.

Dom mieścił się w starej, pieczołowicie wyremontowanej willi, która istniała już przed wojną, nosząc wówczas nazwę „Vauxhall”. Był to wtedy jeden z najelegantszych okolicznych pensjonatów, szczytujący się posiadaniem najnowocześniejszych w mieście toalet spłukiwanych bieżącą wodą. Codziennie napełniany zbiornik mieścił się w wysokiej wieży zwieńczającej budynek, zaś uruchomienie automatycznej spłuczki pozwalało na higieniczne i komfortowe korzystanie z łazienki. Po wojnie budynek przechodził z rąk do rąk, nieuchronnie niszcząc. Uratował go Robert Byliński, zamożny biznesmen. Wykupił z rąk państwa, odrestaurował, nie szczędząc zarobionych na Zachodzie pieniędzy i wreszcie otworzył tu luksusowy dom seniora.

Zrobił naprawdę świetny interes, bo wszystkie apartamenty były nie tylko zajęte, ale już zarezerwowane na przyszłość. Każda osoba miała tu do dyspozycji dwupokojowe samodzielne lokum z łazienką, całodobową opiekę lekarzy i pielęgniarek oraz dostęp do rozmaitych rozrywek, jakich nie brakowało w uzdrowisku. „Pod Sosnami” oferowało swoim pensjonariuszom indywidualne lekcje malarstwa i rysunku, zajęcia fitness i basen, klub czytelniczy, filmowy oraz własny teatr i kameralny zespół muzyczny. W obszernym salonie, zajmującym prawie cały parter ogromnej willi, co wieczór toczyły się turnieje brydżowe i szachowe, nieustannie rozmawiano i bawiono się. Oczywiście, te luksusy kosztowały i to bardzo słono, ale przebywające tu osoby było na to stać. Posiadały duże majątki lub wspierały je zamożne dzieci. Kilkoro gości sprowadziło się „Pod Sosny” zza granicy, wykorzystując swoje okazałe europejskie emerytury, aby umilić sobie schyłek życia.

To miejsce miało naprawdę klasę – wśród mieszkańców można było spotkać byłych przedsiębiorców, majątnych przedstawicieli wolnych zawodów, artystów i kolekcjonerów. Był nawet jeden

dawny polityk i wspierana przez dzieci aktorka, niegdyś ozdoba stołecznych scen teatralnych. Pensjonariuszy otaczano szacunkiem i dyskrecją, starając się uniknąć rozgłosu i jakiegokolwiek skandalu. W końcu płacili tak dużo również za święty spokój.

Dlatego, gdy nocna pielęgniarka doniosła właścicielowi o śmierci jednego z mieszkańców, Byliński poczuł pewien niepokój. Oczywiście, rezydenci luksusowej wille umierali i trudno się dziwić, w końcu byli to ludzie dość wiekowi. Każdorazowo jednak takie wydarzenie wywoływało pewien niepokój – zarówno wśród pensjonariuszy, jak i personelu. Po pierwsze trzeba było wezwać policję i miejskiego lekarza, by stwierdził zgon. To zawsze budziło obawy, czy zmarłym nie zainteresują się media, a tego „Pod Sosnami” chciano za wszelką cenę uniknąć. Rodziny nie lubiły rozgłosu. „Z klasą i dyskrecją” – takie było motto luksusowego ośrodka i wydarzenie, jakim była śmierć któregoś z rezydentów stanowiło ten groźny moment, gdy mogło dojść do naruszenia owej złotej zasady.

Dlatego Byliński najpierw wypytał panią Martę, nocną pielęgniarkę, o wszystkie szczegóły. W śmierci Edwarda Lubowskiego, zamożnego emerytowanego adwokata, nic nie budziło podejrzeń. Zmarł we śnie, lekarz, którego zatrudniał dom seniora, stwierdził zawał serca. Cóż, to się mogło zdarzyć w każdej chwili.

– Proszę wezwać policję! – powiedział Byliński do recepcjonistki, młodej dziewczyny, którą przyjęto tutaj tuż po szkole hotelarskiej. – Proszę wyjaśnić, że zależy nam na dyskrecji, żadnych kogutów, radiowozów, mundurów. Niech przyjedzie ktoś po cywilnemu, nierzucającym się w oczy autem. Nasi pensjonariusze życzą sobie bezwzględного spokoju, trzeba im oszczędzać nieprzyjemnych wrażeń...

Wydawał polecenia, recepcjonistka gorliwie kiwała głową, a on już w myślach przeglądał listę oczekujących na wolne miejsca „Pod Sosnami”. Pierwszy był pułkownik Osiecki, wracający z długoletniej emigracji w Anglii. Sam Byliński wolałby co prawda panią Nalaskowską, której dzieci kierowały dużą firmą

odzieżową, ale krewni pułkownika naciskali już od bardzo dawna, więc pominięcie go mogłoby wywołać nieprzyjemny skandal. Cóż – seniorka odzieżowego rodu będzie musiała poczekać aż zwolni się inne miejsce...

Gdy podinspektor Adam Werner zajechał swym ubłoconym służbowym oplem pod ganek, Byliński wyszedł osobiście, by go przywitać.

Werner musiał przyznać, że dyrektor domu „Pod Sosnami” miał klasę. Ubrany był stylowo, bez ekstrawagancji, ale w doskonałej jakości rzeczy, dyskretnie podkreślające jego status. Na przykład buty. Były ręcznie szyte z włoskiej skóry, co Adam dostrzegł na pierwszy rzut oka. Także garnitur z niewiarygodnie drogiej wełny *vicuna* w nietypowym ciemno-błękitnym odcieniu zdradzał nie tylko dobry gust, ale pewne wyrafinowanie.

– Miło mi pana widzieć – odezwał się tymczasem gospodarz, gdy Adam wygramolił się ze swego brudnego samochodu, wygładził pogniecione poły marynarki i podał mu rękę. Bylińskiemu nawet powieka nie drgnęła na ten obraz abnegacji policjanta. Wprowadził go po schodach do obszernego hallu, gdzie mieściła się recepcja.

– Zapraszam do mojego gabinetu – wskazał dębowe drzwi opodal wejścia do salonu.

Gabinet szefa także prezentował się okazale, choć urządzono go nad wyraz skromnie. Meble były gustowne i dyskretnie kosztowne. W ozdobnej szafie obok biurka stało kilka starodruków, a na ścianie wisiał obraz w stylu Pankiewicza.

– To jeden z moich Pankiewiczów – wyjaśnił Byliński, gdy policjant zapatrzył się na pejzaż. „No cóż” – pomyślał z rozbawieniem Adam. „Powiniennem założyć z góry, że będzie to oryginał. Ten facet nie toleruje podróbek.”

– Zaprosiliśmy pana – ciągnął tymczasem Byliński. – Ponieważ zmarł jeden z pensjonariuszy. Nasz lekarz twierdzi, że to zawał serca, zatem to rutynowe wezwanie, sam pan rozumie...

– To ja ocenię – powiedział nerwowo Werner, bo ten elegancki goguś działał mu na nerwy. Policjant znał takich biznesmenów, jego świętej pamięci babcia określała ich zabawnym zdaniem:

„krew wypije, dziurki w skórze nie zrobi”. I była to kwintesencja tego, co Werner sądził na temat Bylińskiego i mu podobnych.

– Ależ oczywiście – ugodowo stwierdził właściciel, jakby reflektując się, że takie protekcyjne traktowanie policjanta może zaszkodzić domowi „Pod Sosnami”.

– Proszę mnie zaprowadzić do pokoju zmarłego – Werner wyciągnął notatnik. – Czyli Edwarda Lubowskiego, lat 72.

Weszli na piętro. Wszędzie było pusto, bo pensjonariusze przebywali o tej porze w jadalni na śniadaniu. Nocna pielęgniarka otworzyła drzwi i weszli do pokoju Lubowskiego, gdzie czekał już lekarz. Uściśnął dłoń Wernera i podzielił się z nim swoją diagnozą – zmarły od dawna cierpiał na serce, zawału, który doprowadził go do śmierci, można się było spodziewać.

Policjant spojrzął na zwłoki mężczyzny. Nie wyglądało na to, by zamieszane w to były osoby trzecie. Lubowski zmarł we śnie, jego twarz była spokojna i nie zdradzała oznak przestachu. Ciało spoczywało w naturalny sposób, wokół nie było widać żadnych śladów walki. Ot, naturalna śmierć ze starości.

Policjant rozejrzał się po wykwintnie urządzonej sypialni. Zmarły otaczał się drobiazgami i pamiątkami. Na ścianach wisało kilka obrazów dobrych malarzy, meble także sprawiały wrażenie antyków. Uwagę policjanta zwrócił plik zdjęć na nocnym stoliku.

– Co to jest? – zapytał pielęgniarkę, a ona wzruszyła ramionami.

– Chyba rodzinne fotografie pana Edwarda...

Werner przerzucił zdjęcia. Wszystkie przedstawiały tę samą osobę. Na oko dziesięcioletnią, szczupłą dziewczynkę w jasnej sukience. Fotografii było ze dwadzieścia, a wyobrażona na nich osoba, jakby powoli nabierała kształtów. Pierwsze zdjęcie przedstawiało ją zaledwie w zarysie; patrząc na obrazek, miało się wręcz wrażenie, że sfotografowano ducha. Na ostatniej fotografii dziewczynka była widoczna zupełnie wyraźnie, sztywno siedząca w fotelu, w sukience i wysokich bucikach, ale Werner odniósł wrażenie, że w tym zdjęciu było coś upiornie nieludzkiego.

– Znają ją państwo? – zapytał Werner, podsuwając ostatnie zdjęcie pielęgniarce, Bylińskiemu i lekarzowi. Pokręcili przecząco głowami.

– Może to ktoś z rodziny? – rzucił lekarz, a policjant rozejrzał się po sypialni. Nigdzie nie zauważył żadnych zdjęć rodzinnych. Trochę dziwne...

– Rozumiem, że stwierdza pan naturalne przyczyny zgonu – powiedział Werner, zwracając się do doktora, a ten skinął głową.

– Ponieważ nic nie wskazuje tu na działanie osób trzecich, odstąpimy od sekcji... Zwłoki trzeba przetransportować do miejskiej kostnicy, ale pan dyrektor zapewne zna procedurę?

– Oczywiście – zapewnił Byliński. – Proszę tylko o dyskrecję przy przewożeniu ciała. Nasi pensjonariusze to ludzie starsi, nie lubią myśleć o śmierci, staramy się im oszczędzić przykrych wrażeń...

Werner zmierzył go wzrokiem. Zaiste, godna podziwu delikatność, zwłaszcza, że już podczas śniadania mieszkańcy ośrodka dowiedzą się kogo brakuje, i z jakiego powodu... Ale skoro tak im na tym zależy...

– Dobra – powiedział opryskliwie. – Trupiarka pojedzie od tyłu, zaraz wydam dyspozycje...

Właściciel aż wzдрыgnął się na określenie „trupiarka”, pożegnał się krótko i wyszedł z pokoju zmarłego. Lekarz także zebrał swoje instrumenty i wymknął się cicho, tłumacząc zwykłymi obowiązkami. Werner został sam z pielęgniarką.

– Mogę stąd zadzwonić? – zapytał, a kobieta skinęła głową i ciągle stała w jednym miejscu, jakby na coś czekając.

– Coś jeszcze? – zapytał nieuważnie policjant, wykręcając numer.

– Panie podinspektorze – powiedziała cicho. – Chodzi mi o te zdjęcia...

– Tak? – zainteresował się Werner.

– Ja już je kiedyś widziałam...

– U pana Lubowskiego?

– Nie. U kogoś zupełnie innego. U pani Ewy Pociiej, ona mieszkała na ostatnim piętrze. Też były u niej takie zdjęcia, tej

dziewczynki jakby za mgłą.

Werner wydał krótkie polecenie dotyczące transportu ciała i odłożył słuchawkę.

– Mogę porozmawiać z tą panią Pocię?

– Niestety – pokręciła głową pielęgniarka. – Ona nie żyje już od pół roku.

ADAM WERNER lubił swoje miasto, oczywiście poza sezonem. Teraz, w maju, Krynica miała dla niego szczególny urok. Było ciepło, a nawet upalnie, a w mieście wciąż dominowali pozasezonowi kuracjusze – osoby starsze i rodziny z małymi dziećmi. Lubił przechadzać się po Bulwarach i Parku Zdrojowym, gdzie ciągle można było znaleźć wolną ławkę. Za kilka tygodni, w lipcu, będzie to już niemożliwe. Myślał o tej chwili ze wstrętem.

Komisariat mieścił się niedaleko Parku, więc codziennie przed pracą starał się trochę pobiegać, dla kondycji. I tak za dużo czasu spędzał za biurkiem, w niewygodnym pokoiku z oknem wychodzącym na ciemne podwórko. Teraz też, wpatrując się w kawałek brudnej ściany za szybą, przerzucał nieuważnie notatkę z oględzin zwłok Edwarda Lubowskiego. Lekarz zatrudniony w domu seniora jako przyczynę śmierci podał zatrzymanie akcji serca. Cóż, adwokat był wiekowy, cierpiał na chorobę wieńcową. Tak bywa. Adama niepokoiły jednak zdjęcia znalezione w pokoju zmarłego i słowa pielęgniarki. Kazał nawet sprawdzić notatkę dotyczącą tej poprzedniej zmarłej, Ewy Pocię. Była ona prawie w wieku Lubowskiego, zmarła również z przyczyn naturalnych. Tak jak Lubowski należała do elity miasta – lekarka stomatolog z prywatną praktyką, którą odziedziczyła po niej córka.

Werner popatrzył raz jeszcze na niepokojące zdjęcia dziewczynki w jasnej sukience. Było w nich coś niesamowitego, jak z innego świata. Rozłożył fotografie na biurku, od tej najbardziej bladej, na której ledwie było widać kontury postaci, po tę najwyraźniejszą.

Do pokoju zajrzał współpracownik Wenera, Jacek Solski. Wyglądał jeszcze gorzej niż podinspektor, który i tak nie dbał za bardzo o swoją prezencję. Jacek miał na sobie wystrzępiony szary podkoszulek z napisem „Jethro Tull” oraz sprane dżinsy. Na szyi nosił słuchawki od iPhone’a, z którego – w co nie wątpił Werner – sączył się rock progresywny, tak lubiany przez jego współpracownika. Solski nie miał jeszcze trzydziestki, interesował się kulturą wschodu, czytał Murakamiego i wyznawał religię komputerową. Uważał, że informatyka jest najpotężniejszą z nauk, a w internecie można znaleźć wszystko.

Teraz też rzuciwszy okiem na zdjęcia, powiedział:

– Świetne! Widziałem taką stronę w sieci.

– Jaką? – zainteresował się Werner.

Jacek wzruszył ramionami. – Nazywała się „Post Mortem” i prezentowała kolekcję pośmiertnych zdjęć z XIX i XX wieku...

– Zdjęć pośmiertnych? – zdziwił się podinspektor.

– Tak – Jacek rozsiadł się na skraju biurka i zaczął przerzucać fotografie. – To było bardzo popularne w tamtych czasach. Rozumiesz, duża śmiertelność, zwłaszcza wśród dzieci. Krewni chcieli utrwalić pamięć o bliskich, często taka fotografia była jedyną jaką mieli. Zmarłych fotografowano początkowo w trumnie, ale potem starano się nadać im pozory życia. Ciało ustawiano na specjalnych stelażach, by trzymało się prosto, usadzano na kanapie, nierzadko wśród żyjących członków rodziny, co sprawiało dość upiorne wrażenie. Otwierano oczy, a gdy się nie udało, domalowywano źrenice na powiekach.

– Żartujesz? – nie mógł uwierzyć Werner. Jacek Solski pokręcił głową.

– Nie. To było bardzo modne. Małe dziewczynki z lalkami, misiami, wystrojone w paradne sukienki, w półleżącej pozycji na sofie, rodzice ze zmarłymi dziećmi na rękach, naprawdę można się przestraszyć. Mnie przerażała jedna taka fotka, przedstawiająca kobietę i zmarłe noworodki. Ona ubrana na biało leży w pościeli, patrząc w obiektyw zupełnie obłąkanym wzrokiem, a obok niej trzy trupy świeżo narodzonych dzieci. Po prostu „groza, groza” jakby powiedział mój ulubiony bohater

filmowy, pułkownik Kurtz.

Werner pokręcił w zadumie głową. Gdy teraz spojrzął na zdjęcia, nie miał już wątpliwości, że wyobrazona na nich dziewczynka jest martwa. To właśnie ten fakt, czynił fotografię tak niepokojąco nierzeczywistą.

– Ale to nie jest XIX-wieczne zdjęcie? – spytał, a Solski przyjrzał się bliżej.

– Na pewno nie. Po stroju i dodatkach powiedziałbym, że to jakieś lata 50. ubiegłego wieku, zdjęcie jest stare, ale to na pewno nie antyk. I wygląda na to, że zrobiono je w zakładzie fotograficznym, na co wskazuje skomponowanie tej scenki. Na takich fotelikach zwykle fotografowano dziewczynki przystępujące do Pierwszej Komunii...

– Jakiś zakład w Krynicy specjalizował się w zdjęciach pośmiertnych? – zdziwił się Werner, a Solski wzruszył ramionami.

– Trudno to wykluczyć. To ważny ślad dla śledztwa?

– Na razie nie ma żadnego śledztwa. Lekarz stwierdził zgon z przyczyn naturalnych, ale podejrzewam, że to zdjęcie nie pojawiło się w pokoju zmarłego bez powodu. Chciałbym wiedzieć, kto jest na tej fotografii...

– Mogę zabrać jedną? – spytał Jacek. – Zeskanuję ją i oddam. Zobaczę co się da zrobić, daj mi kilka dni.

– Dobrze – powiedział podinspektor. Pewna myśl nie dawała mu spokoju. Postanowił wrócić do domu seniora „Pod Sosnami”.

GDY TAM DOTARŁ, pensjonariusze mieli akurat zajęcia w okazałym ogrodzie, ciągnącym się nad strumieniem. Po raz kolejny Werner musiał przyznać, że „Pod Sosnami” to piękne miejsce, idealne na spędzenie jesieni życia.

No, ale taki luksus kosztuje – powiedział do siebie, pewny, że jego policyjna pensja i późniejsza emerytura na pewno nie wystarczyłyby na coś takiego. Pozbawiony rodziny i krewnych będzie się zatem musiał zadowolić domem emerytowanego policjanta, o ile takowy kiedykolwiek powstanie.

- Dzień dobry, panie podinspektorze - dobiegł go niespodziewany głos z werandy.

Spojrzał w tamtą stronę. Osoba, która do niego przemówiła, sprawiała niecodzienne wrażenie. Była to kobieta dobrze po siedemdziesiątce, o niesamowicie lśniących srebrzystych włosach. Na głowie nosiła skórzaną czapkę pilotkę, a na ramiona miała zarzucony płaszcz, w rodzaju wojskowego szynela. Wenera zdziwiło to nieco, bo wieczór był raczej ciepły.

- Witam panią - powiedział więc, zbliżając się do werandy. Kobieta siedziała sama, a na stoliku miała rozłożoną robótkę ręczną.

- Jestem Róża Curlej - przedstawiła się, wyciągając do niego drobną dłoń w nicianej mitence. - Kiedyś byłam właścicielką galerii sztuki w Krakowie, teraz dożywam swoich dni tutaj.

- Wcale nienajgorsze miejsce - stwierdził Werner, ściskając jej rękę. Uśmiechnęła się.

- Jak dla kogo. Mnie osobiście nudzi towarzystwo starych przyków i ugrzecznionego personelu, który myśli tylko o swoich wypłatach. Nie mam im za złe, bo każdy troszczy się tylko o siebie, takie czasy, ale przerażeniem napawa mnie fakt, że umrę tutaj...

- Skąd takie hiobowe myśli? Ma pani przed sobą jeszcze wiele pięknych lat w tym luksusie.

- Szczerze wątpię - powiedziała, wzruszając ramionami. - Też dostałam już zdjęcia...

Werner podniósł głowę i spojrzał na nią uważnie. Ona położyła znacząco palec na ustach.

- Zapraszam pana do mojego apartamentu, tam porozmawiamy.

Wstała, a on podążył za nią. Jak na staruszkę, poruszała się bardzo pewnie i szybko. Weszli na pierwsze piętro, gdzie pani Curlej otworzyła drzwi przy końcu korytarza.

Mieszkanie, do którego weszli, było równie niezwykle, co jego właścicielka. Pani Róża najwyraźniej kolekcjonowała bibeloty. Niewielką przestrzeń zastawiono etażerkami, witrynami i szafami bibliotecznymi. Wszędzie było pełno porcelanowych

figurek, drewnianych zwierząt i marionetek, które na długich linkach zwieszały się nie tylko z regałów, ale również z lamp oraz haczyków wbitych w ściany. Niezwykle lekko czerwone światło dawała stojąca w saloniku duża lampa z szydełkowanym abażurem, zapewne własnoręcznie wykonanym przez właścicielkę.

– Lubię tę moją dziuplę – powiedziała z dumą pani Róża. – Dobrze się tu czuję!

Adam skinął głową na znak, że rozumie, choć jego osobiście rozpraszało nagromadzenie przedmiotów. Pamiętał z lekcji sztuki, że taki obłęd maksymalnie wykorzystanej przestrzeni nazywał się *horror vacui*, czyli lęk przed pustką. Teraz, rozglądając się po mieszkaniu byłej właścicielki galerii, doskonale rozumiał tę ideę.

Pani Róża posadziła go przy stole, tuż obok niesamowitej lampy i wyszła do niewielkiej kuchenki, zaparzyć kawę.

Wenera zaintrygowały marionetki. Były to figurki przedstawiające ludzi w różnym wieku: młodych i starych, często dzieci. Ich pieczołowicie odtworzone stroje były albo na wskroś współczesne, albo wręcz przeciwnie – niemodne, jakby mocno przestarzałe.

– Patrzy pan na moje lalki? – spytała pani Róża, wnosząc dzbanek z aromatycznie pachnącą kawą. – Sama je wykonuję, inspirują mnie osoby, które znam.

Wernerowi zrobiło się lekko nieprzyjemnie, bo wśród marionetek zauważył podobiznę Bylińskiego, doskonale uchwyconą z charakterystycznym dla dyrektora lekko pogardliwym wyrazem twarzy.

– Powiedziała pani coś o zdjęciach – przypomniał, gdy była właścicielka galerii nalała już kawę.

– Tak. Zaraz je panu pokażę – sięgnęła do szuflady biurka i wydobyła z niej zwykłą białą kopertę, a z niej zdjęcia identyczne z tymi, jakie znalazł w pokoju Lubowskiego. Było ich tylko nieco mniej.

– Codziennie rano znajduję jedno takie zdjęcie wsunięte pod drzwi mojego pokoju. – wyjaśniła pani Róża, patrząc ponuro na

fotografie. – Niestety, na korytarzu nie ma monitoringu i nie można stwierdzić, kto to robi, ale przypuszczam, że musi to być ktoś z personelu...

– Lub jeden z pensjonariuszy – dodał policjant. Pani Róża spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– O tym nie pomyślałam!

– No właśnie – stwierdził Werner. – Ale pomyślała pani o personelu, dlaczego?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę. – Może dlatego, że ich nie znam? Tak szybko się zmieniają, Byliński co rusz kogoś wyrzuca i zastępuje nową osobą, jest bardzo wymagający. Mieszkańców w większości znam, to starzy ludzie, niedołęzni, gdzieby byli w stanie codziennie podrzucać mi zdjęcia, bez zwracania czyjejś uwagi?

– Dostała pani dziesięć zdjęć, czyli wszystko to trwa już dziesięć dni, tak?

Pani Róża pokiwała głową.

– Edward dostał dwadzieścia, a potem w ciągu kilku dni umarł.

– A pani Pocięj? – zapytał policjant. Curlej nie kryła zaskoczenia.

– Wie pan o tym? Ona dostała tylko cztery zdjęcia i umarła. Jak pan widzi, nie ma reguły.

Werner wziął fotografie do ręki.

– Zna pani tę dziewczynkę.

Kobieta nie odpowiedziała, ale zdradziło ją spojrzenie. Rzuciła okiem na parę marionetek wiszących w rogu pokoju, tuż obok półki z książkami. Były to dwie dziewczynki w białych sukienkach i podkolanówkach. Twarzyczka jednej z lalek do złudzenia przypominała tę z fotografii.

Policjant wstał z fotela i podszedł do lalki.

– Proszę powiedzieć, kim jest ta dziewczynka!

Pani Curlej milczała chwilę, mieszając cukier w filiżance z kawą.

– To jest Ania Kondracka, być może słyszał pan o sprawie jej śmierci.

Czy słyszał! Historia śmierci Anny Kondrackiej stanowiła temat zajęć w szkole policyjnej z zabezpieczania miejsca zbrodni. Wszystko wydarzyło się w roku 1954, w maju. Dziewczynka po

prostu bawiła się na podwórku, a potem znikła. Zrozpaczeni rodzice zgłosili jej zaginięcie. Przeszukano całą okolicę, aż wreszcie po kilku dniach ciało Ani znaleziono w skrzyni ukrytej za muszlą koncertową. Dziewczynka ubrana była jednak zupełnie inaczej niż w dniu zaginięcia, kiedy to miała na sobie szkolną spódniczkę i granatową bluzkę. Najwyraźniej ktoś porwał ją z podwórka, a potem zabił i przebrał w suknię od Pierwszej Komunii. Zwłoki nosiły ślady przenoszenia, licznych manipulacji, ale dziewczynka nie była molestowana, ani nie została zgwałcona. Ślady wskazywały jednak, że starannie ją umyło, nawet włosy, które zostały pieczołowicie ufryzowane w loki. W Krynicy zaczęto wówczas szeptać o zbrodni, porywającym małe dziewczynki, ale atak się nie powtórzył, a milicja nigdy nie wykryła sprawcy. Co ciekawe dziewczynka zmarła na skutek zatrucia – ktoś musiał podać jej lub wstrzyknąć skopolaminę. Poszukiwania sprawcy skoncentrowano więc na pracownikach szpitali i aptekarzach, ale także nic to nie dało...

– To jest strój, w którym znaleziono ją po śmierci – powiedziała pani Róża. – Ta komunijna sukienka, w którą ktoś ją przebrał...

– W którą przebrał ją morderca – poprawił Werner. Pani Curlej pokręciła głową i ukryła ją na chwilę w ramionach.

– Nie, nie morderca... Ja sama nie wiem, kto ją tak przebrał, ale na pewno nie był to morderca...

Werner czekał. Wiedział, że starsza pani ma mu coś do powiedzenia.

– Panie podinspektorze, powiem to panu, bo ta tajemnica ciąży mi już od prawie sześćdziesięciu lat... Byliśmy wtedy dziećmi, ja, Ania, Ewunia Pocięj, Edward i Andrzej Osiecki. Tworzyliśmy, wie pan, taką paczkę przyjaciół, bandę jak się to wtedy mówiło, bardzo się lubiliśmy. Naszym wodzem był Jędrzek, on wymyślał różne niebezpieczne zabawy. Kiedyś dostał od kogoś książkę o roślinach trujących. Zaczęliśmy się bawić w alchemików, czarodziejów... Próbowaliśmy jeść liście i nasiona różnych roślin, fascynowały nas efekty – niektóre substancje wywoływały halucynacje, inne euforię. Z czasem nasze eksperymenty robiły się coraz bardziej niebezpieczne, bardzo ryzykowaliśmy. Tego

wieczoru w maju 1954 spróbowaliśmy nasion lulka czarnego. To było straszne! Wszyscy mieliśmy urojenia – ja widziałam wszędzie śmiejące się ze mnie twarze....

– A Ania zmarła... – pokiwał głową policjant.

Pani Róża rozplakała się.

– Tak. Dostała drgawek, zaczęła się dusić. Żadne z nas nie potrafiło jej pomóc. Uciekliśmy stamtąd, a Jędrrek kazał nam przysiąc, że nikomu nic nie powiemy. Byliśmy pewni, że znajdą ją tam na Górze Parkowej następnego dnia... Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, gdy odnaleziono ją za muszlą koncertową, przebraną w tę dziwną sukienkę. Ktoś musiał znaleźć jej zwłoki w lesie i zbeszcześcić, inaczej sobie tego nie mogłam wytłumaczyć. Ale nie mam pojęcia, kto to był... Może nas obserwował wtedy w lesie? Nie wiem, wciąż o tym myślę...

– A potem Ewa Pocij dostała zdjęcia zmarłej Ani?

– Tak. Najpierw Ewunia, potem Edward, a wreszcie ja. Nie wiem tylko, co z Andrzejem, bo on przed laty wyjechał z kraju i słuch po nim zaginął. Wszyscy troje w każdym razie otrzymaliśmy te zdjęcia, no a Ewunia i Edward wkrótce potem zmarli... Zupełnie jakby te fotografie miały jakąś śmiercionośną moc...

– Zastanawiała się pani, kto może podrzucać te zdjęcia?

Pani Róża otarła łzy i kiwnęła głową. – Cały czas o tym myślę... To musiał być ktoś, kto wiedział o tej sprawie, i o naszym pobycie w lesie, gdy Ania zmarła, i może uważa, że to była nasza wina. Myślałam, że może jej brat, Jan, ale on zmarł prawie dziesięć lat temu. Nie mam zatem pojęcia...

– No, a ten czwarty kolega, Andrzej Osiecki? – zapytał podinspektor. – Mówiła pani, że zniknął bez śladu...

– Tak – kobieta zastanowiła się. – On był dziwny, bardzo. Widziałam w nim jakiś rys szaleństwa, jeżeli pan rozumie. Zrobiłam nawet jego lalkę – wskazała marionetkę w niemodnym ubraniu, wiszącą niedaleko podobizny Ani Kondrackiej. Werner ujrzał chmurną twarz nastolatka o skrzywionych w grymasie niezadowolenia ustach. Było to oblicze zdradzające pewne okrucieństwo.

– Wiem, że wstąpił do wojska, a potem przerzucano go z jednej

jednostki do drugiej po całej Polsce, później podobno opuścił kraj – wyjaśniła pani Curlej. – Straciłam go kompletnie z oczu. Jego rodzina już dawno, bo latach 60., wyprowadziła się z Krynicy.

– Sprawdzę to wszystko – uspokajająco powiedział Werner. – Dziękuję pani za szczerłość.

Starsza kobieta znowu wytarła oczy chusteczką. – Panie podinspektorze, Ewa i Edward zmarli, podobno śmiercią naturalną, ale fakt, że wcześniej nic im nie dolegało. Dostawali te zdjęcia... A teraz ja... Boję się...

– Proszę się nie obawiać. Będziemy tu ciągle zaglądać. Nic nie wskazuje na to, że pani Pocięj i pan Lubawski zostali zamordowani – może otrzymanie tych zdjęć przyspieszyło ich śmierć? Zdenerwowali się, przeżyli wstrząs? Być może ten, kto podrzuca te fotografie właśnie na to liczy – że stres spowoduje śmierć prześladowanej osoby?

– Trochę mnie pan pocieszył, panie podinspektorze.... – powiedziała Róża, ale wcale nie wyglądała na uspokojoną, wręcz przeciwnie.

WERNER WRÓCIŁ na posterunek, gdzie już czekał na niego Solski.

– Mam coś w sprawie tego zdjęcia – powiedział z wielką dumą.

– Dawaj. – Werner wciąż myślał o tym, co zdradziła mu pani Curlej. W tej sprawie najwyraźniej coś mu się wymykało.

– Sprawdziłem wszystko dokładnie. Wiesz, kto to jest?

– Anna Kondracka – zmęczonym głosem powiedział Adam.

– Tak! Skąd wiesz? Mnie to trochę czasu zajęło, na zdjęciach z ówczesnych gazet wyglądała inaczej, tu jest tak teatralnie upozowana.

– Powiedziała mi jedna z pensjonariuszek „Pod Sosnami” – pokrótce streścił Solskiemu rozmowę z panią Różą, a młody komputerowiec z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ale jaja, to mogło by być coś a la „Archiwum X”, rozwiązanie zagadki sprzed lat...

– Nie wariuj – osadził go Werner. – Dowiedziałaś się jeszcze

czegoś o tych zdjęciach?

Solski uderzył się dłonią w czoło. – Ależ tak! Dosyć długo mi zeszło, bo wiesz użytkownicy takich serwisów nie są zbyt rozmowni, ale w końcu dowiedziałem się, że w latach 50. był tu w Krynicy pewien zakład fotograficzny, w którym wykonywano takie zdjęcia pośmiertne. Oczywiście w największym sekrecie i tylko wśród wtajemniczonych. Prowadził go facet, bardzo znany w naszym mieście. Wcześniej był marynarzem, dużo pływał na statkach i ze swoich podróży przywoził egzotyczne okazy roślin. Jego oranżeria była powszechnie znana, bo uprawiał przede wszystkim rośliny dosyć odrażające. Na przykład wydającą zapach zgniłego mięsa grewille, czy równie cuchnący ciemiernik. Miał też słabość do roślin wydzielających żywicę podobną do ludzkiej krwi: sandalinu i czarciuka smoczego. Straszyl nimi swoich gości. Uważano go za szaleńca i trochę się go obawiano. Podobno uprawiał też rośliny trujące...

– Niesamowite – stwierdził Werner. – To może być klucz do rozwiązania zagadki zdjęć. Czy ten człowiek jeszcze żyje?

Solski pokręcił głową. – Nie. Augustyn Byliński zmarł w latach 90. dom wraz z oranżerią przeszedł w ręce jego syna, który zlikwidował atelier fotograficzne.

– Pan Robert Byliński, właściciel „Pod Sosnami” – powiedział z namysłem Werner. – To nie może być przypadek, prawda?

– To coś więcej – uśmiechnął się Solski. – To brakujący element łamigłówki.

NIE INTERESUJĘ się zbytnio botaniką – powiedział następnego dnia Adam Werner, gdy wspólnie z Solskim przesłuchiwali Roberta Bylińskiego na komendzie. – Ale wiem, że niektóre roślinne trucizny mogą spowodować śmierć, wyglądającą na zgon z przyczyn naturalnych.

Byliński przestał już zaprzeczać. Rewizja w jego domu, położonym na skraju Parku Zdrojowego ujawniła nie tylko negatyw pośmiertnego zdjęcia Ani Kondrackiej, ale pokaźną ilość trujących roślin. Wezwany na miejsce toksykolog potwierdził

podejrzenia Wenera.

– Pierwsza ofiara, pani Pocij zmarła, jak zeznała właśnie pielęgniarka, z dziwnym wyrazem twarzy. To wskazuje wedle naszego eksperta na zatrucie kulczybą wronie oko, zawierająca strychninę, która tak wykrzywia rysy. Pan Lubowski, cierpiący na chorobę serca, padł ofiarą mało znanej trucizny, cerbery złocistej, którą w Indiach nazywają „drzewem samobójców”, bo desperaci odbierają sobie za jej pomocą życie – zatrzymuje akcje serca, udając zawał. Co do pani Curlej... Skarży się na postępujące sztywnienie dłoni, coś w rodzaju paraliżu... Nasz lekarz podejrzewa podtrawanie owocami coyotillo, wyjątkowo podstępnej rośliny, która zabija dopiero po kilku tygodniach od podania. To wszystko można sprawdzić – zarządziliśmy u pani Róży testy toksykologiczne oraz postanowiliśmy ekshumować tamtą dwójkę, na pewno znajdziemy w ich ciałach truciznę. Wiem, że pański ojciec fotografował Anię po śmierci, przypuszczam, że znalazł jej zwłoki na Górze Parkowej i nie mógł się powstrzymać... Tylko skąd wiedział o okolicznościach jej śmierci? Podglądał ich?

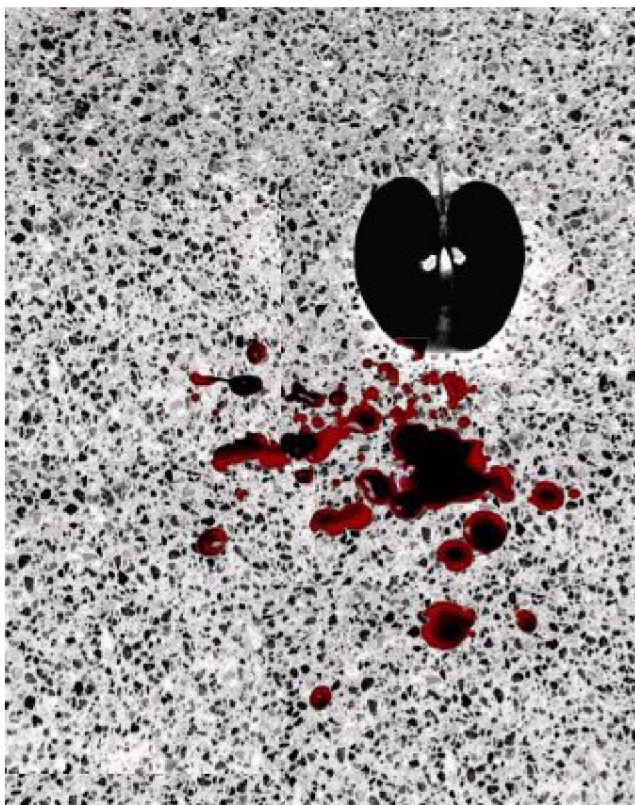
Zrezygnowany Byliński pokręcił głową. – Ten mały Osiecki przychodził do taty, interesowały go trujące rośliny, zwłaszcza te halucynogenne. Ojciec dawał mu różne książki, wiedział, że eksperymentują w lesie i w parku. Gdy znalazł Anię domyślił się wszystkiego. Uważał, że to oni ją zabili, chciał ich ukarać, Ania była jedynym dzieckiem jego siostry. Ale nie miał odwagi, a czas płynął. Ci ludzie dorośli i stali się potężni, a co za tym idzie – poza zasięgiem. Kiedy ojciec zmarł, ja postanowiłem dokończyć jego dzieło, pomścić kuzynkę. Zgromadziłem ich wszystkich w tym domu i zdecydowałem zabić w taki sposób, jak oni zabili Anię – roślinnymi truciznami. Dla ostatniego z nich, Andrzeja Osieckiego, którego zamierzałem ściągnąć tu z Anglii, szykowałem coś naprawdę wspaniałego. Wilczą jagodę. Przed śmiercią dręczyłyby go straszne halucynacje, napady szału i być może zwariowałby od tego... Wszyscy myśleliby, że zmarł na wściekliznę...

Solski i Werner patrzyli na Bylińskiego w milczeniu.

Jak można się tak zapamiętać w pragnieniu zemsty, by kontynuować ją po tylu latach, w drugim pokoleniu?

– To szalenie – powiedział Werner, gdy wyszli z pokoju przesłuchań.

– „Koszmar i paniczny strach są twoimi przyjaciółmi. W przeciwnym razie stają się wrogami, których należy się bać. Prawdziwymi wrogami.” – W zamyśleniu rzucił Solski, a Werner wiedział, że ponownie cytuje Kurtza z „Czasu Apokalipsy”.



Kwestia czasu
Marta Guzowska

JAK ZOBACZYŁAM tego trupa, pierwsze, co pomyślałam, to – Boże drogi, jak ja to teraz wyczyszczę?

Głowy w ogóle nie było widać. Ale nawet gdybym nie wiedziała, kto to, i tak bym go poznała. Po tej butonierce z czerwoną chusteczką. Taki był z niego elegancik, a nie wiedział, że butonierka to nie kieszonka, tylko dziurka od guzika w klapie. Od kiedy pokazywali w Tefalen Stajl, chyba cała Polska już to wie. Cała Polska może i tak, tylko ten kretyn nie wiedział.

Tak, ten kraj jest pełen kretynów. A z nich wszystkich najgorszy kretyn to Pawłowicz, bo mógł wywalić mnie z pracy. A ja mam tylko osiemset złotych stypendium i bez tej pracy nie dam rady skończyć studiów. Bo ja studiuje zarządzanie, nie będę przecież sprzątaczką do końca życia. Skończę studia, znajdę sobie fajną robotę, i sama będę zatrudniać sprzątaczkę. To tylko kwestia czasu. Więc mi zależało. A ten kretyn Pawłowicz dobrze o tym wiedział.

„Anetko, wejdź pod stół, bo mi się kawa wylała, trzeba wytrzeć”. Ciekawe, zawsze wylewała mu się tam, gdzie miał najlepszy widok na mój tyłek.

„Anetko, mamy za mało papieru toaletowego!”. I stawał dokładnie w drzwiach do schowka, żebym musiała się obok niego przeciskać.

Albo najgorsze: „Anetko, zobacz, uświniłem sobie czymś spodnie. Pomóż mi doczyścić, ty się przecież na tym dobrze znasz”. I wybuchał obrzydliwym rechotem, już na sam dźwięk można było puścić pawia.

Żeby było jasne, ja tam pruderyjna nie jestem. Nie mam nic przeciwko fajnym facetom. Tylko jeden warunek: bez zobowiązań. Jeszcze jestem za młoda, żeby pracować skarpetki i dzieci niańczyć. Jeśli jakiś miły kolo chce mi postawić kawę w Kofi Heven, to nie mówię nie. A jak jest naprawdę fajny, to nie mówię nie, kiedy mnie zaprasza do domu, żebym obejrzała jego ajpada,

ajpada, czy innego ajfona. Możemy się nawet bzyknąć drugi, albo i trzeci raz. Ale jak mnie potem pyta, dlaczego nie odbieram telefonu, to ja się zmywam.

Więc to już sobie wyjaśniliśmy, pruderyjna nie jestem. Ale facet musi być fajny. A Pawłowicz to była łajza. Niby te służbowe garnitury, ale zawsze był jakiś taki wymemłany, jakby spał w ubraniu. Z ust mu zawsze tak capiło, że nie wiem. A najgorsze miał ręce, paznokcie obgryzione do żywego mięsa. Ja może i jestem sprzątaczką, i robię rękami, ale dbam o siebie. Do manikiurzystki chodzę, chociaż to spory wydatek, co najmniej trzydzieści złotych.

„Tejk it izi, Aneta”, mówiłam sobie. „Only luz. Od klepnięcia w tyłek nikt jeszcze nie umarł.” Nawet od uszczypnięcia nie umarł, chociaż raz miałam siniaka przez dwa tygodnie. Wkurwiłam się wtedy strasznie i przysięgałam, że przywalę mu w tę cuchnącą mordę, jeśli jeszcze raz... Ale na szczęście to się nie powtórzyło. To akurat nie, ale za to inne rzeczy tak.

To dlaczego nie rzuciłam tej roboty w cholere? – zapytacie. To przecież nie jest jakaś super fucha, sprzątaczką na dwie zmiany, nawet w takim biurowcu pełnym mądrali w garniturach. A co wy myślicie, że teraz tak łatwo o pracę? Wiem jak jest, trzy miesiące szukałam i to naprawdę cud, że mi się udało, z ogłoszenia przyszło tyle dziewczyn, że musiały czekać w holu. Więc jak już człowiek znajdzie jakąś przyzwoitą robotę, to się jej trzyma, nawet jeśli trafi na kretyna szefa. Pensja wiadomo, na sprzątaniu to nikt się jeszcze nie dorobił, ale dają trzynastkę i nawet bony na Wielkanoc i na Boże Narodzenie. I fartuch i rękawiczki, nie muszę się martwić, że mi lakier zejdzie. A do tego godziny sobie poustawiałam tak, że mi pasują do zajęć na uczelni.

„Tejk it izi, Aneta”, powtarzałam sobie. I jakoś szło, dopóki nie przywieźli tej rzeźby za trzy miliony dolarów.

Byłam wtedy na drugiej zmianie, więc tak jak wszyscy poszłam się pogapić, jak ją ustawiali przed samym wejściem do wieżowca. Przyjechał dźwig, taki mały, a za nim ciężarówka. Cały cyrk był przy wyładowywaniu, bo robotnicy, a chyba z szczęściu ich było, strasznie się z tą rzeźbą cackali. Sam Jasiński koło nich skakał,

a Jasiński to się normalnie do takich rzeczy nie zniża, sprzętaczek to nawet nie zauważa. A z robotnikami był prawie po imieniu. „Panie Władku, niech pan da trochę w prawo, jeszcze centymetr, nie, w moje prawo niech pan da, dobra, jeszcze centymetr, jeszcze troszkę, jest!” Aż się wkurzył szef tych robotników, ale co miał powiedzieć? Gościowi z zarządu podskoczyć, co to pewnie sam papier na te trzy miliony podpisał?

Cackali się z tą rzeźbą, cackali, aż w końcu znudziło mi się i poszłam dokończyć robotę. Jak wychodziłam, dźwigu już nie było. A następnego dnia przyjechał jakiś facet, podobno konserwator, długo z Pawłowiczem gadał pod tą rzeźbą i potem pojechał. I było fajnie, dopóki na rzeźbę nie zaczęły srać gołębie.

Na początku to się nie rzucało w oczy, ale gołębi w tym mieście jest od cholery. A obsrana rzeźba za trzy miliony dolarów, przed biurowcem międzynarodowej korporacji, to jednak przesada.

– Anetko. – Pawłowicz wyszczerzył się tak, że jeszcze nigdy nie miałam takiej ochoty przywalić mu w ten głupi ryj. Ale powtórzyłam „tejk it izi” kilka razy i mi przeszło. – Anetko, mam dla ciebie nowe zadanie. Cieszysz się?

Jak cholera, pomyślałam, ale „tejk it izi” znowu pomogło.

– Skocz, dziewczyno, po drabinę. Wypucujesz te jaja. Ale jaja, ha, ha.

Sam se skocz, bucu, pomyślałam. Już widziałam, jak Pawłowicz stoi pod samiutką drabiną i daje mi wskazówki, z której strony mam czyścić. Cholera, akurat przyszłam w spodnicy. Okres mi się zaczął, nie lubię wtedy nosić spodni.

Ale co miałam zrobić? Przecież mu nie powiem, że nie. Od razu nagana, a to już by była moja druga, bo zarobiłam jedną na początku, zanim się dowiedziałam, że nie wolno podpalać w kiblu. Druga nagana i do widzenia, Anetko, możesz szukać roboty do usranej śmierci, kryzys jest i chętnych dwa razy więcej, niż miejsc pracy.

„Tejk it izi”, mruknęłam jeszcze raz, odwróciłam się i wyszłam. Do gospodarczego po drabinę. Myślałam, że pęknię, zanim ją przytargałam, musiałam wziąć największą, bo z małej nie dałabym rady dosięgnąć.

Pawłowicz oczywiście nie raczył mnie poinformować, czym się to myje. Ale tak szczerze, między nami, to bardziej się bałam wylecieć z roboty, niż że coś spieprzę z rzeźbą za trzy miliony dolarów. W końcu nie moja, nie?

Zdjęłam sznur ze słupków, przysunęłam drabinę i postukałam w pień drzewa. Metal. Jakiś zielony. A na tym metalowym pniu dwa jaja, jedno nie większe niż moja głowa, ale jedno to takie na pół człowieka. Jaja były w kolorze złotym, ale na pewno nie ze złota, bo by tego tak na ulicy nie postawili. Chyba to też nie było żelazo, ale co to ja jestem, mechanik samochodowy, żeby się znać na metalach?

Wróciłam do gospodarczego i obejrzałam sobie, co tam stoi na półkach. Musiałam się streszczać, bo wiedziałam, że Pawłowicz zaraz przyjdzie sprawdzić, czy stoję na drabinie i czy może mi już zaglądać pod spódnicę. Wzięłam kilka gąbek, rękawiczki (akurat sobie świeżo zrobiłam paznokcie i chciałam, żeby chociaż do soboty wytrzymały). I wiadro z wodą. W końcu, pomyślałam sobie, jak na tę rzeźbę pada deszcz i nic jej nie jest, to woda z kranu też jej nie zaszkodzi. Co prawda chlorowana, ale deszcz za to kwaśny. Tylko nie wiedziałam, czy od wody ptasie gówna puszcza.

Wciągnęłam wiadro na drabinę, zaczepiłam na takim specjalnym haczyku, zamoczyłam gąbkę i spróbowałam w miejscu, które z dołu w ogóle nie było widoczne. Jakby coś poszło nie tak, to przynajmniej nikt się mnie nie będzie czepiał. Pokapałam wodą, poczekałam chwilę i potarłam. Placek gówna ukruszył się na krawędzi. Wycisnęłam na to miejsce więcej wody z gąbki, poczekałam jeszcze chwilę, potarłam i placek zszedł.

Wycisnęłam gąbkę, wytarłam to miejsce na wilgotno, a potem jeszcze raz na sucho i przyjrzałam się, czy nie została jakaś plama. Ludzie mówią, że gołębie gówno potrafi nieraz dziurę wyżreć, ale ja tam nic nie zauważyłam. No to wzięłam się do roboty.

Pawłowicz zmaterializował się już przy trzecim placku gówna, a jakże. Taki jak on, to nie odpuści nawet na łożu śmierci. Najpierw oparł się o drabinę i nic nie mówił, tylko się po cichu

ślinił. To mi jeszcze najmniej przeszkadzało, zresztą musiałam te gówna delikatnie ścierać i skupiłam się na tym. Ale Pawłowicz to pięciu minut nie wytrzyma bez gadania.

Najpierw było oczywiście, łatwe do przewidzenia: rzeźba za trzy miliony dolarów, a ptaki ją obsrywają, ha, ha. Potem: jaja na gałęzi, ciekawe czyje, ha, ha. Potem dowcip o dwóch blondynkach, co stały na golasa przed lustrem, ha, ha. Potem jeszcze jeden dowcip o blondynce, co z kolei nie mogła zostać saperem, ha, ha.

Musiałam zejść, żeby przestawić drabinę. Pawłowicz nie odsunął się nawet o centymetr, więc na dole dosłownie przeciskałam się między jego spoconym cielskiem a szczeblami. Powiedziałam „przepraszam” i szarpnęłam drabinę, aż z wiadra na górze chlusnęło, bo z tego wszystkiego zapomniałam je zdjąć. Pawłowicz odskoczył i zaczął sobie oglądać garnitur (jakby było co, już dawno powinien go oddać do pralni), a ja szybko przesunęłam, co miałam przesunąć i włożyłam z powrotem. Z dwojga złego wołałam, żeby mi zaglądał pod spódnicę.

Pawłowicz otrzepał przód garnituru i zaczął trzeci dowcip o blondynce. Wychyliłam się do przodu i oparłam o to duże jajo, żeby zetrzeć placek gówna z boku. I wtedy poczułam, jak jajo drgnęło.

Cofnęłam się, bo się przestraszyłam. Drabina się zachwiała, z wiadra znowu poleciało.

– Co ty sobie, kurwa, jaja robisz?! – Wrzasnął Pawłowicz na dole. – Wodą na mnie lejesz? I to z gównami?

– Panie kierowniku. – Z niego żaden kierownik, ale kazał tak do siebie mówić, to co ja będę z kretynem dyskutować. – Panie kierowniku, ta rzeźba się rusza.

Taki był zajęty oglądaniem sobie marynarki, że nawet na mnie nie spojrzął. Miałam mu ochotę wylać na łeb całe to wiadro, żeby zaczął słuchać.

– Panie kierowniku, ta rzeźba się rusza. To jajo, znaczy.

– Co ci się rusza?

– Jajo – powtórzyłam.

– Ha, ha, jaja ci się ruszają. No złaż, Anetko, złaż. Sam zobaczę.

Zeszłam z drabiny. Stanęłam kilka kroków dalej, na wszelki wypadek, żeby mi nic nie zleciało na głowę.

Pawłowicz wdrapał się na szczeble i dotknął jaja.

– Co ty wygadujesz, dziewczyno. Nic się nie rusza.

Boże, co za kretyn. Myśli, że paluszkami poruszy kilkaset kilo?

– Niech pan się oprze mocniej – poradziłam.

Pawłowicz oparł się i nagle odskoczył. Niestety nie zleciał z drabiny. Szkoda, bo to by dopiero, jak mówią w telewizji, „mejz maj dej”.

Powoli zszedł na dół i obciągnął marynarkę.

– Ja się tym zajmę. – Otrzeptał spodnie, chociaż na drabinie nie było kurzu. – Ty wracaj do roboty.

– A jak zleci?

– Na pewno nie zleci – zapewnił mnie i oblizał wargi. – Tylko umyj porządnie, Anetko, bo strasznie to wygląda takie uświnione.

A skąd ta pewność, ty kretynie? Zleci, na bank zleci, to tylko kwestia czasu. Tak sobie pomyślałam, ale nic nie powiedziałam. Szkoda było w ogóle strzepić język.

– Przyniosę świeżej wody – mruknęłam.

Skinął głową i przełknął ślinę. Usiadł na krawędzi postumentu i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

Wróciłam do gospodarczego, wylałam wodę z wiadra do zlewu, nalałam świeżej. A potem zajrzałam do szafki koło zlewu. Stała tam cała zgrzewka Wude czterdzieści. U nas zawsze zakupy robi się hurtowo.

No plis, tylko mi nie mówcie, że nie wiecie, co to jest Wude czterdzieści? Nigdy wam drzwi nie skrzypiały? Albo rower? Nigdy? No to sorry, ta cała historia nie jest dla was.

Wsadziłam puszkę do kieszeni fartucha, wzięłam wiadro z wodą i wróciłam na drabinę. Umyłam co się dało, bez opierania się. A potem wcisnęłam całą puszkę Wude czterdzieści między jajo i gałąź drzewa. O rany, no przecież wiadomo, że nie puszkę wcisnęłam, tylko sam smar. Do każdej puszki jest przymocowana taka cienka plastikowa rurka, żeby łatwiej było wcelować tym sprejem dokładnie, gdzie się chce. Trzeba tylko nacisnąć taką zakrętkę na górze pojemnika i samo leci.

No pewnie, że Pawłowicz nic nie zauważył. Zauważyłby, jakbym zdjęła majtki.

I tak to się powtarzało, co parę dni. „Anetko, trzeba umyć rzeźbę”. To Anetka bierze wiadro, bierze drabinę i zasuwa. I za każdym razem szła cała puszka Wude czterdzieści.

Po kilku tygodniach miałam dosyć. I upałów i mycia rzeźby. A najbardziej tego cholernego kretyna. Zawsze był obrzydliwie spocony, i śmierdział, chociaż mamy w całym budynku klimatyzację. Poza tym przecież są dezodoranty, ludzie, wystarczy wejść do pierwszej z brzegu drogerii. A jego łapy to już były dosłownie wszędzie. Tylko za cycki mnie jeszcze nie złapał, ale oboje wiedzieliśmy, że to kwestia czasu.

Więc kiedy włąziłam, po raz setny chyba, na drabinę, myślałam, że kogoś z tej złości pogryzę. A żar był taki, że metal parzył przez gumowe rękawiczki.

Znowu oparłam się o jajo i znowu poczułam, że się poruszyło.

– Panie kierowniku, ta rzeźba znowu się rusza.

– Znowu ci się jaja ruszają, Anetko? To chyba niemożliwe, może raczej jajeczka, ha, ha!

– Może by pan lepiej sam sprawdził?

Zeszłam z drabiny i zrobiłam mu miejsce. Oczywiście znowu musiałam się koło niego przeciskać na dolnych szczeblach, ale było mi już wszystko jedno.

Wspiął się na górę i popchnął jajo. Zachrobotąło i jajo się przesunęło. Z dobre dziesięć centymetrów. Tak to przynajmniej wyglądało z dołu.

– O kurwa! – Pawłowicz cofnął gwałtownie ręce. Wpatrywał się w rzeźbę, a minę miał, jakby właśnie narobił w gacie i nie wziął świeżych na zmianę. – O kurwa!

– Widziałas? – Pytanie było do mnie, ale Pawłowicz nie odrywał wzroku od jaja, jakby się bał, że jedno spojrzenie w inną stronę i wszystko się rozpieprzy w drobny mak. – Widziałas tego skurwysyna? Przesunęło się.

Odważył się w końcu zdjąć spojrzenie z rzeźby i zeskoczył z drabiny.

– Nic tu nie ruszaj, Anetko. I odsuń się lepiej za ten sznurek, bo

jak to się spieprzy... Nic nie ruszaj. Ja lecę zadzwonić... Matko Święta! To skurwysyńskie jajo naprawdę się przesunęło, kurwa jego mać.

Weszłam z powrotem na górę, zdjęłam wiadro i zaniosałam je do gospodarczego. Jak wróciłam, to go jeszcze nie było. Złożyłam drabinę i też ją zaniosałam i postawiłam na miejscu, za drzwiami. Pawłowicz powiedział, że bym nic nie ruszała, ale chyba o rzeźbie mówił, a nie o drabinie. A ja już się tak nauczyłam, że nie znoszę, jak jest nieposprzątane.

Wpadł na mnie, jak wychodziłam z gospodarczego i tym razem naprawdę niechcący. Nawet mnie nie pomacał, chociaż miał okazję.

– Zadzwoniłem do inspektora. – Cały był zdyszany. – Muszą złapać ekipę, która to montowała. O Jezu, wiesz co to by było, jakby to się całkiem spieprzyło? Przecież ta rzeźba kosztowała trzy miliony dolarów!

O dżizas, naprawdę? – miałam ochotę zapytać, ale nawet się nie obejrzał, ani na moje cycki, ani na moje nogi, tylko poleciał dalej. Poszłam za nim. Chciałam zobaczyć, jak to się wszystko skończy.

Kiedy wyszłam na dwór, Pawłowicz gadał przez telefon. Jedną ręką przyciskał komórkę do ucha, a drugą wymachiwał. Koszula wyszła mu ze spodni i wystawała spod marynarki, ale nawet nie próbował jej wepchnąć.

Stałam z boku, w cieniu. Kurczę, nawet ławki nie postawili, żeby człowiek mógł sobie na moment przysiąść.

Za chwilę przyleciał Jasiński, a dosłownie minutę po nim ten inspektor z nadzoru. Zaczęli się kłócić i na zmianę z kurwami leciały teksty o procedurach i odbiorze obiektu. A ten kawałek o trzech milionach dolarów to słyszałam chyba z dziesięć razy. Nudne to było, a mnie nogi strasznie bolały po całym dniu.

Na szczęście ekipa z dźwigiem podjechała chyba za piętnaście minut. Tylko, że u nas tak nie ma, że ludzie przychodzą i biorą się do roboty, muszą sobie najpierw pogadać. Jasiński naskoczył na kierownika ekipy, że rzeźba jest źle umocowana. Kierownik mu na to, że ma papiery, na których ma podpisany odbiór, i że teraz to go mogą w dupę pocałować. Pawłowicz się wydierał, żeby

poczekali na konserwatora, ale nie mógł się do niego dodzwonić.

Trochę to trwało, chociaż od początku, i bez tego całego gadania, wiadomo było, że ktoś coś spieprzył przy montażu. Ale wreszcie coś tam ustalili i podjechali bliżej z tym dźwigiem. Robili dokładnie to samo, co przy zakładaniu rzeźby, tylko od końca. Dwóch robotników zdjęło ten sznurek i odsunęło słupki ogrodzenia. Dźwig spuścił łańcuch i pociągnęli go bliżej. Jasiński znowu się poczuł szefem. Staął z przodu i machał rękami, że niby bliżej i niżej.

– Jeszcze trochę! – krzyczał. – Jeszcze trochę! Teraz dobrze. Już!

Robotnicy mieli pomarańczowe rękawice i trzymali takie żółte taśmy, którymi mieli tę rzeźbę okręcić. Pamiętam, że sobie pomyślałam: jak to możliwe, żeby te rękawice i te taśmy były takie kolorowe i czyste, bez śladu brudu. Ale może już jakieś skrzywienie od tego sprzątaniamam, albo coś.

Zarzucili te taśmy dookoła jaja, dokładnie w tych samych miejscach, co przy montowaniu. I chyba za mocno szarpnęli. I wtedy cała rzeźba zjechała.

Dżizas, już przecież mówiłam. Nie cała rzeźba, tylko jajo. Zsunęło się na dół i puknęło w beton.

No i tyle. Już mówiłam, że nie było widać głowy, bo znalazła się dokładnie pod jajem. Staliśmy tam wszyscy, jakby nas zamroziło, chociaż był upał. Nikt nic nie mówił. A kałuża krwi robiła się coraz większa i wsiąkała w szpary między betonowymi płytami.

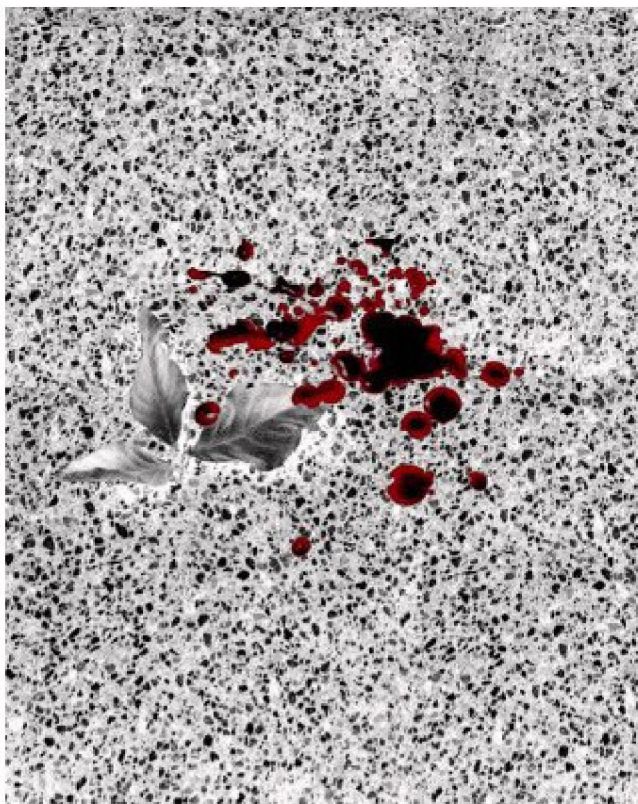
Ale Jasińskiego zawsze bym poznała, nawet bez głowy, podobnie jak każdy w tym całym biurówcu. Po tej czerwonej chustce w butonierce, co to nie jest butonierką.

Później, jak przyjechała policja, to się zaczęło. Wszystkich spisali, i tak dalej.

Jeden technik robił zdjęcia trupowi. Widziałam w telewizji, że najpierw trzeba zrobić zdjęcia, zanim się w ogóle czegoś dotknie. A drugi obejrzał dokładnie jajo, bez dotykania, a potem otworzył torbę i zaczął rozpylać taki proszek do pobierania odcisków palców.

Ja tam nie wiem, czy Pawłowicz pójdzie siedzieć, czy nie. Skąd mam wiedzieć, nie jestem przecież z policji, ani z prokuratury.

Więc jak zobaczyłam tego trupa, najpierw sobie pomyślałam – Boże drogi, jak ja to teraz wyczyszczę. Ale zaraz się uspokoiłam. Nie muszę niczego czyścić. To Pawłowicz ma teraz ból głowy, bo to jego odciski palców są na rzeźbie. I ślady Wude czterdzieści też znajdują, a wtedy na pewno zajrzą do naszego gospodarczego, to tylko kwestia czasu. A ja tam dbam o ręce, zawsze pracuję w rękawiczkach.



Wyjazd integracyjny

Agnieszka Krawczyk

NO, TO PANI KASIU, staropolskie „chluśniem, bo uśniem”!

– Ależ panie Sławku, ja już naprawdę dziękuję!

– Kasieńko, Kasieńko, pani Kasiu złota, to pyszna wiśnióweczka jest, to tylko na zdrowie idzie...

– Panie Sławku, ja już naprawdę nie mogę...

– Nie mogę, to się mężowi odpowiada, a nie na wyjeździe integracyjnym, no pani Kasieńko, bo kolejka czeka...

Autokarem zatrzęśło, bo wjechali właśnie na jakiś wybój i pan Sławek z kieliszkiem wiśniówki potknął się i przechylił przez oparcie siedzenia pani Kasi, wylewając cenny płyn na jej kaszmirowy sweterek. Kadrowa zapiszczała przeraźliwym głosem, a pan piarowiec zaczął rugać kierowcę, że nie potrafi jeździć jak należy. Prowadzący autobus pan Janek, otarł pot z czoła i kątem oka spojrzął na siedzącą tuż obok pilotkę, Anitę Jaworską z biura „Best Event”, które zorganizowało ten wyjazd. Miała zaciśnięte ze złości wargi i czując na sobie wzrok kierowcy, wymownie wzruszyła ramionami. Buraki, ot co...

Jechali tym „wesołym autobusem” już trzecią godzinę i Anita miała okazję prześledzić wszystkie etapy zabawy, która toczyła się w iście ekspresowym tempie. Gdy Jaworska zobaczyła wszystkich uczestników wycieczki – a był to sam management pewnej fabryki wyrobów gumowych – miała wrażenie, że już sobie na wszelki wypadek golnęli dla kuraju. Trudno ich było zapędzić do autokaru, a gdy wreszcie to nastąpiło, okazało się, że kogoś brakuje. Zaczęły się poszukiwania, telefony, rozbawione komentarze i chaos. Wreszcie pan piarowiec przyprowadził zaginioną główną księgową, o której podobno zapomnieli „w ogólnym zamieszaniu” i biedaczka tkwiła w swoim pokoju, czekając na sygnał do odjazdu.

Podniósł się szlaban i wreszcie opuścili teren fabryki ogumienia. Natychmiast, gdy tylko zniknął im z oczu salutujący ochroniarz w komicznej czapce z daszkiem, dyrektor eksportu wyciągnął z teczki flaszkę i zaczął rozlewać trunek do

plastikowych kubeczków. Wypili tak ze trzy kolejki i nastroje zrobiły się szampańskie, nie przeszkadzał im nawet korek na drodze, normalny w piątkowe popołudnie, ani perspektywa kilkugodzinnej podróży autobusem.

Anita doskonale znała ich wszystkich i wiedziała czego się będzie mogła spodziewać. Jej biuro organizowało wyjazdy integracyjne dla fabryki gumy już trzeci raz. Na przykładzie tych imprez widać było jak z roku na rok pogłębia się kryzys, nie oszczędzając najbogatszych firm. Trzy lata temu polecieli wycarterowanym samolotem na Kretę. Fakt, że mocno po sezonie, ale hotel był czterogwiazdkowy i *all inclusive*. Na początku trochę się pilnowali, ale drugiego dnia zabawa popłynęła jak Niagara. Pan Sławek, piarowiec, stał się postrachem parkietów, dyrektor od eksportu zasnął na plaży w wyciągniętej na brzeg łódce, a całe towarzystwo przekonane, że ktoś go porwał, urządziło Anicie pobudkę o czwartej nad ranem z wyraźnym żądaniem wezwania policji i rozpoczęcia śledztwa. Oczywiście nie brakowało niezadowolonych – obiady były „za mało polskie” i zbyt obfite. Od pani księgowej Anita usłyszała, że to skandal podawać takie ilości jedzenia, gdy ona ma chorą wątrobę i to jej szkodzi. Na delikatną sugestię, że do konsumpcji nikt nie zmusza, Jaworska ujrzała tylko wzruszenie ramionami i wyraz twarzy mówiący: „aleś ty głupia, przecież to za darmo!”.

Rok później integrowali się w Polsce, ale także na bogato. Tym razem był to hotel spa w nadmorskiej miejscowości. Taki z aqua parkiem i zabiegami. Tutaj przestali się pilnować od razu, bo nie krępowała ich obca kultura. Używano sobie do tego stopnia, że obsługa hotelowa zdecydowała się zamknąć aqua park dla gości z zewnątrz, bo fabryka gumy zdominowała wszystkie wodne atrakcje. Oczywiście nie obyło się bez zgrzytów – kadrowa, pani Kasia, kobieta ulegająca częstym wypadkom, poślizgnęła się w spa i rozbiła sobie kolano tak fatalnie, że musiano jej założyć gips, pani Bożenie z księgowości z kolei coś stuknęło w pokoju, więc Anita musiała ją przenosić pięć razy, bo nigdzie nie było wystarczająco komfortowo. Dyrektor eksportu z dyrektorem

importu urządzili sobie konkurs skoków do wody. Ten od eksportu o mało co się nie utopił, bo próbował skakać „na Małysza”, czyli lądować telemarkiem. A szef marketingu upił się w tak widowiskowy sposób, że zasnął z nosem w sałatce warzywnej. Jednym słowem – norma wyjazdów integracyjnych.

Tym razem, wszystko zapowiadało się dużo gorzej. Po pierwsze nie jechali ani nad morze, ani w góry, tylko nad zwykłe jezioro. W październiku. Hotel był tylko trzygwiazdkowy, nie miał spa, ani aqua parku, a w dodatku był dawnym obiektem Funduszu Wczasów Pracowniczych, kupionym przez pewną sieć ośrodków wypoczynkowych. I nie była to bynajmniej perełka w koronie tej sieci.

Dobrze, że chociaż w hotelu był basen i dyskoteka, bo w przeciwnym razie Anita mogłaby się spodziewać, że całe odium niezadowolenia spłynie na nią. Choć to przecież fabryka gumy tak poskąpiła swemu kierownictwu, oszczędzając na czym się dało.

W dodatku niestrudzony management robił wszystko, by wprawić się w dobry nastrój jeszcze przed dotarciem na miejsce; dwa razy musieli przystawać, by dokupić „paliwa”.

Kobiety trzymały się po japońsku, czyli „jako tako”, ale panowie wyraźnie osiągnęli już stan nieciągłości. Marynarki zrzucono wieki temu, krawaty rozluźniono w pierwszej kolejności, tuż za bramą. Kierownik marketingu o rosyjskim imieniu Igor, ten co ongiś wylądował w sałatce, teraz intonował jakąś pieśń. Głos miał dobry, to prawda, ale szybko opadł z sił. Dyrektor importu z tym drugim od eksportu kłócili się zawzięcie. Tego Anita obawiała się najbardziej. Awantury. Często miała z tym do czynienia na wyjazdach integracyjnych, gdy przelewała się fala frustracji i ludzie zaczęli skakać sobie do oczu. Zwykle jednak nie działo się to tak szybko. Tym razem wszystko toczyło się w przyspieszonym tempie, jakby ktoś nacisnął przycisk „speed”.

Na szczęście awanturze położył kres niezawodny pan Sławek, piarowiec, ze swoją nieodłączną wiśnióweczką. Jak nic potrafiła ona łagodzić wszelkie konflikty.

Autokar jechał i jechał, zrobiło się już ciemno, a uczestnicy

zapadli w sen. Anita nie miała złudzeń – po przyjeździe do ośrodka wstąpi w nich nowe życie i znowu zaczną dymić na całego. Wyciągnęła spod siedzenia termos i naląła sobie kawy, jeszcze raz kombinując, jak tu wszystkich zakwaterować w niewygodnym hotelu.

Dobrze znała to miejsce. Jej biuro proponowało „Sasankę” tylko najbiedniejszym firmom, na przykład różnym instytucjom państwowym. Wiadomo, taka szkoła nie wyśle nauczycieli do hotelu spa, Fundusz Wczasów Pracowniczych nad jeziorem musi im wystarczyć. I zazwyczaj wystarczał, bo nauczyciele są przyzwyczajeni do gorszych warunków. Mają to na co dzień.

Hotel z zewnątrz prezentował się wcale nieźle, nie licząc fasady pomalowanej na majtkowy róż. W środku było gorzej. Dwa poziomy i jeden straszniejszy od drugiego. Na parterze wilgoć, na piętrze grzyb. Istna kaszana. Do tego na dole w pokojach było ciemno – światło słoneczne skutecznie zasłaniał zagajnik rosnący tuż pod oknami. Na piętrze nie było co prawda problemów z zaciemnieniem, ale za to dach przeciekał, tworząc na suficie malownicze plamy.

Przynajmniej komarów nie ma, bo to październik – pomyślała Anita, próbując znaleźć jakiegokolwiek dobre strony tej sytuacji. Komarów nie ma, ale zapewne będzie zimno. Geniusze z „Sasanki” nie uważali za stosowne włączać ogrzewania wcześniej niż w dniu przyjazdu grupy.

Anita zwizualizowała sobie ten koszmar. Okropny ciągnący się przez cały hotel hol, wyłożony białymi płytkami jak w rzeźni. Pokoje zimne i śmierdzące stęchlizną. Basen przypominający brodzik dla dzieci i wiecznie nieczynną saunę. Wreszcie salę jadalną...

Tak. To było najgorsze. Każdy, kto tu wchodził doznawał szoku. Co ja mówię, osłupienia, że coś takiego jest możliwe. Sala podobnie jak reszta hotelu zrobiona była na biało – na podłodze białe płytki, najgorszego gatunku, więc tu i ówdzie spękane, biała boazeria na ścianach oraz takiegoż koloru dekoracje. Głównie z bibuły i jakiegoś plastiku, udającego tiul, za to w ogromnej ilości. A wszystko to przybrudzone, przykurzone i ogólnie mocno

zużyte. Człowiek miał wrażenie, że trafił do sali weselnej, w której czas zatrzymał się dobre trzydzieści lat temu.

Z jadalni rozpościerał się przy tym widok na smutny i zaniedbany brzeg jeziora z kolonią rozwalających się domków kempingowych, które podobno jacyś odważni wynajmowali latem. Być może na obozy przetrwania, tego Anita nie wiedziała.

– A więc panią Kasię, kadrową, damy na parter koło pana Sławka, piarowca – przepowiadała sobie Anita, gryząc końcówkę ołówka. – Pokój taki sobie, za to towarzystwo w jej guście. Dyrektora importu z dyrektorem eksportu obok siebie na piętrze, najwyżej się pobiją, zaś tego od marketingu można umieścić w najgorszym możliwym pokoju na dole – i tak się upije, więc nie zauważy dyskomfortu z powodu wilgoci i braku dziennego światła. Istniała nawet szansa, że mu się to spodoba.

Jeżeli chodziło o panią Bożenę, księgową, to właściwie było wszystko jedno, gdzie się ją zakwateruje – z niczego nie była zadowolona.

Anita pamiętała jak na Krecie domagała się niegazowanej polskiej wody w butelkach („no przecież to jest *all inclusive*, to chyba wszystko mają? Jak to nie mają? To za co ja płacę?”), zaś w Międzyzdrojach obawiała zbrojeńca, który może przedostać się do jej pokoju przez balkon. Problem polegał na tym, że balkony oddzielono od siebie wyłącznie szklaną ścianką, która budziła lęk księgowej.

Jaworska w młodości była pilotką wycieczek do Hiszpanii i naprawdę niejedno już widziała – pasażerów, którzy potrafili urządzić dyskotekę w autokarze, a podczas noclegu w hotelu łomotać do jej drzwi o trzeciej nad ranem z pytaniem, czy mogłaby pożyczyć monety do automatu, bo oni koniecznie muszą zadzwonić do kraju. „Jest trzecia nad ranem” – próbowała tłumaczyć. „Państwa rodzina zapewne śpi.” „Jak to?” – dziwiono się niepomernie. „A różnica czasu?”

Tiaaa... Objazdowa wycieczka po Hiszpanii – gdy Anita miała trochę ponad dwadzieścia lat myślała, że nie może jej się przydarzyć już nic gorszego. Teraz gdy przekroczyła trzydziestkę, wiedziała, że dużo gorsza jest integracja z fabryką

gumy.

Autokar właśnie zajechał pod „Sasankę” i management zaczął niespiesznie wychodzić. Rozprostowywano kości na świeżym powietrzu i komentowano wygląd hotelu. Teraz w nocy, prezentował się wcale nieźle.

Pani Bożena wyciągnęła z bagażnika swą wielką skórzaną walizę na kółkach i przejechała nią piarowcowi po nogach. Ten wrzasnął i zaczął masować sobie stopę.

Co ona ma w tej torbie? – pomyślała Anita, mając nadzieję, że nie są to pocięte zwłoki prezesa fabryki ogumienia, który odmówił wyjazdu na integrację. Zresztą, gdyby to naprawdę były zwłoki, być może miałyby panią Bożenę z głowy podczas następnego wyjazdu, bo relaksowałyby się dożywotnio w Białoleśce?

Rozbawiony tłumek wtoczył się do wnętrza ośrodka i ustawił w holu. Anita, ponad ich głowami, podała recepcjonistce listę. Oczywiście znowu zaczęli się przepychać i kłócić, bo każdy chciał dostać klucz jak najwcześniej.

– Kolacja za dwadzieścia minut! – krzyknęła Jaworska, starając się zapanować nad ich wrzaskami.

– Dlaczego tak szybko? Ja się nie zdążę przygotować – pisnęła kadrowa, pani Kasia, poprawiając misterną fryzurkę.

Reszta grupy, zgłodniała podczas długiej jazdy, była odmiennego zdania.

Anita poczekała aż wszyscy odbiorą klucze i powlokła się do swego pokoju – wybrała taki na szarym końcu hotelu, by jak najbardziej odizolować się od uczestników wycieczki.

Niestety, ledwo położyła torbę na stole, rozległo się pukanie do drzwi. Zupełnie jej nie zdziwiło, że była to pani Bożena we własnej, mocno zirytowanej osobie.

– Pani chyba mnie chce zabić! – wypaliła, ładując się bezceremonialnie do pokoju Anity. – Dostałam najgorszy nocleg! Jest ciemno, brudno, na ścianie jakieś plamy, a w pokoju gorąco.

Gorąco? To było akurat coś nowego, bo zazwyczaj skarżyła się na zimno, nawet na Krecie. Ale jak widać księżkowa lubiła zaskakiwać.

– To może powinna pani zakręcić grzejnik? – zaproponowała Anita zmęczonym głosem. Pani Bożena z dezaprobatą pokręciła głową.

– Zakręciłam. Dalej jest gorąco. Myślę, że kaloryfer się za-powie-trzył – przesyłabizowała ostatnie słowo, by dać Anicie do zrozumienia jak bardzo jest oburzona.

– Tak... Próbowwała pani otworzyć okno? – podsunęła Jaworska usłudźnie.

– Ja jestem bardzo delikatnego zdrowia i mnie to szkodzi! – tu wymownie wytarła nos w chusteczkę.

– Odrobina świeżego powietrza jeszcze nikomu nie zaszkodziła – powiedziała Anita, której ta kobieta działała na nerwy. – Wręcz przeciwnie!

– Niech pani nie będzie bezczelna! – rozłościła się księgowa. – Bo zgłoszę to pani przełożonemu.

Już się boję – pomyślała Jaworska. Jej współpracowniczka uważała całą tę fabrykę gumy za dopust boży, ale co miały robić? Kryzys jest, bierze się każde zlecenie... Anita z nostalgią wspominała czasy, gdy prowadziły tylko zagraniczne imprezy, eventy reklamowe, organizowały sesje dla modelek, prezentacje produktów. Integracja w ogumieniu – matko, aleśmy nisko upadły, z niesmakiem uświadomiła sobie Jaworska. Marzyła wprost, żeby podłapać jakieś lepsze zlecenie i zmienić branżę. – Mogę nawet wypłacać kosze z trzciny, byle nie oglądać tych pacanów – powiedziała w myślach.

Pani Bożena widać, zrozumiała jej milczenie w inny sposób, bo bacznie obejrzała skromne lokum Anity i wyraziła opinię, że tutaj także nie chce mieszkać; natomiast pokój pani Kasi jest zupełnie niezły.

Anita miała wątpliwości, czy kadrowa zgodzi się na zamianę, ale zaproponowała – z istic szatańskim uśmiechem – że nie ma przeciwskażeń, by pani Bożena się tam wprowadziła. Pani Kasia dostała wszak dwójkę, więc wystarczy tylko zapytać.

To nieco ostudziło zapały księgowej.

– Proszę zgłosić w recepcji, że jestem nie-za-do-wo-lo-na z pokoju i chcę inny. Niech mi zaproponują kilka do wyboru. Ja

proszę pani, jestem bardzo wymagająca, co już na pewno pani zauważyła...

Tak, to mi nie umknęło – pomyślała Anita, zamykając za księgową drzwi. Co za baba, naprawdę...

Zdążyła ledwie umyć ręce i przeczesać włosy, i trzeba już było schodzić na kolację. Zatrzymała ją przerażona recepcjonistka.

– Pani Anito, była tu jedna pani z grupy...

– Pani Kwiatkowska? – Anita natychmiast wiedziała, że chodzi o księgową, a recepcjonistka tylko pokiwała głową.

– Kazała sobie pokazać inne pokoje. Ale my naprawdę nie mamy nic lepszego... Jest jeden pokój świeżo po remoncie, ale tam jeszcze farba dobrze nie wyschła...

– Trudno, jak będzie chciała, proszę się zgodzić. Ma katar, to może nie poczuje... Tej kobiety nie da się zadowolić... – Jaworska była wściekła, że wieczór zaczyna się w ten sposób.

– Właśnie widziałam... – ze współczuciem odparła recepcjonistka.

Na końcu korytarza pojawiła się tymczasem pani Bożena, za którą prawie biegła pokojowa z kluczami.

– To skandal! – Krzyczała księgowa, a jej zaczerwiona twarz zdradzała wyraźne oburzenie. – Trzy pokoje i żaden nie jest wystarczająco dobry...

– No cóż – powiedziała Anita. – Na taki ośrodek zdecydowała się państwa dyrekcja. My proponowaliśmy inne rozwiązania, ale droższe...

Pani Kwiatkowskiej zaczęła pulsować żyłka na skroni, co było wyraźnym znakiem, że zbliża się atak szału. Księgowa była główną inicjatorką rozmaitych cięć budżetowych w firmie, ale na sobie nie lubiła oszczędzać. Uważała, że wszyscy – oczywiście – mogą się obejść niższym standardem, lecz ona zasługuje na dużo więcej.

– Jestem pewna, że prezes nigdy by nie wyraził zgody na taki ośrodek, gdyby wiedział jak tu jest!

– Doskonale wiedział, pani zresztą też. Pamiętam nawet tę rozmowę... – wyjaśniła spokojnym tonem Jaworska, choć wszystko w niej się gotowało, bo przypomniała sobie jak

Kwiatkowska chwaliła oszczędny budżet, a przyklaskiwał jej pan Sławek, piarowiec od wiśnióweczki, który zawsze starał się działać zgodnie z gustem prezesa. A prezes akurat chciał się popisać „ekonomicznym wykorzystaniem środków”. Bo sam nie jechał.

Księgowa spiorunowała więc Anitę wzrokiem, ale nic już nie powiedziała. Zwróciła się za to do recepcjonistki.

– Zatrzymam na razie te klucze. Po kolacji zdecyduję, który pokój wezmę, muszę się jeszcze zastanowić... Ale ja tak tego nie zostawię, ktoś musi za to odpowiedzieć... – tu zmierzyła Jaworską wymownym wzrokiem i ruszyła do jadalni.

Recepcjonistka chciała coś powiedzieć, oponować, ale Anita dała jej znak, że to nie ma sensu – księgowa w końcu zdecyduje się na któryś pokój i odda niepotrzebne klucze. We wszystkich trzech nie będzie przecież mieszkać...

Uroczysta kolacja przy świecach zaczęła się niemiłym zgrzytem, bo podano zieloną zupę.

– O patrzcie – zawołał z rozbawieniem piarowiec, po którym było widać, że wraz z kierownikiem marketingu nie marnowali czasu i chlapanęli sobie co nieco w pokoju. – Zupa z ufoludka...

– Obrzydlistwo! Nie zjem tego! Skandal! – To oczywiście gardłowała księgowa, więc natychmiast zmieniono jej zupę na rosół, podobnie jak pani Kasi, która postanowiła dogonić Kwiatkowską w strojeniu fochów.

– Rosół to ja mogę zjeść w domu – prychnęła pogardliwie, a kelnerce wyraźnie zadrżała ręka. Anita obawiała się, by nie wylała kadrowej tej zupy na głowę. – Na integrację to ja przyjeżdżam zjeść coś dobrego i wyjątkowego!

– Otóż to! – dodała Kwiatkowska triumfalnie.

– E tam, dziewczyny, nie wybrzydajcie – odezwał się wesoło piarowiec. – Czy to ważne, co podają? Ważne, że nie trzeba tego samemu przyrządzać!

Ten głos pragmatyzmu i rozsądku zwyciężył i wszyscy zabrali się rażno do jedzenia. Obyło się więc bez narzekania na roladę ze schabu i deser w postaci rozmrożonych kapciowatych truskawek i kleksa bitej śmietany w spreju.

Po kolacji uczestnicy wycieczki postawili na stole alkohol, didżej włączył muzykę i zaczął się bal. Anita zamierzała posiedzieć trochę, by wszystkiego dopilnować, a potem położyć się spać. Była zmęczona długim dniem w towarzystwie pracowników fabryki gumy.

Na sali tańczono, więc na wszelki wypadek poszła sprawdzić basen. Z poprzedniej wycieczki pamiętała sławetny konkurs skoków do wody i zasypianie w leżaku. Na nieszczęście sauna była czynna, więc stwarzała realne zagrożenie dla zdrowia i życia tych, którzy po nadużyciu wyrobów monopolu spirytusowego próbowaliby skorzystać z tej rozrywki.

W basenie, wyłożonym dla odmiany czarnymi płytkami, chlapał się dyrektor importu, sprawiający wrażenie zupełnie trzeźwego (miał nawet na głowie czepek), zaś ten od eksportu gdzieś przepadł. Anita szybko go odnalazła – kłócił się z księgową dość głośno.

Pani Bożenie znowu pulsowała żyłka, a facet rugał ją raczej niegrzecznie. Jak zwykle całkiem w porę pojawił się Sławek, piarowiec i odciągnął dyrektora eksportu.

Marketingowiec Igor poprosił nawet księgową do tańca, ale chyba powiedziała mu coś niemilego, bo przerwał tany w połowie piosenki i wrócił do stołu.

Pani Bożena także wkrótce się zebrała, mówiąc towarzystwu zdawkowe „dobranoc” i znikając tak szybko, że Anita nie zdążyła nawet zapytać, na który pokój ostatecznie się zdecydowała.

– Głupia rura! – powiedział Sławek, nalewając Jaworskiej wódki. – Pani się napije, pani Anitko. Że też takie durne babska ziemia nosi...

– No – dodał marketingowiec. – Wredna, jak cholera...

– Jęzda po prostu – zgodzili się pozostali.

Anita zauważyła, że po odejściu księgowej zabawa nagle się rozkręciła. Wszyscy byli wyluzowani, swobodni, nikt się kłócił. Zostawiła ich po północy, pewna, że nic złego się nie wydarzy.

Obudziło ją pukanie, a właściwie dobijanie się do drzwi. Zerknęła na zegarek – było po szóstej, a więc do śniadania jeszcze dobre dwie godziny. Co się dzieje?

Otworzyła drzwi i ujrzała dyrektora importu, pana Piotra, w nieodłącznym czepku na głowie i w hotelowym szlafroczku, dość na niego przykrótkim. Miał bladą twarz i przerażone oczy.

– Pani Anito – bełkotał. – Nikogo nie ma jeszcze z obsługi, więc przyszedłem do pani. W basenie ktoś pływa...

Anita popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– To się chyba zdarza, prawda?

– Owszem, ale ten ktoś pływa głową w dół...

Jaworska otrząsnęła się z szoku. – Głową w dół? – nie rozumiała.

– Chyba się utopił... – wyjaśnił wreszcie pan Piotr zbolalym głosem.

Anita chwilę wpatrywała się w niego z osłupieniem, a potem bez słowa narzuciła sweter i pobiegła na basen. Dyrektor importu ruszył za nią.

W basenie istotnie ktoś był. Ciało unosiło się na wodzie, z twarzą skierowaną w dół. Anita nawet nie musiała się zbliżyć, żeby wiedzieć, kto to jest. Rozpoznała ją bezbłędnie po beżowych bucikach na słupku. Bożena Kwiatkowska, księgowa.

– To nasza księgowa, prawda? – zapytał, a właściwie stwierdził pan Piotr.

Jaworska skinęła głową. Była pewna, że kobieta nie żyje.

– Trzeba zadzwonić po policję – powiedziała słabym głosem, a on potwierdził.

W recepcji dalej nikogo nie było, ale udało się im dodzwonić pod numer alarmowy. Połączenie było złe, bo w nocy nad jeziorem przeszła burza. Anita nie miała pewności, czy zgłoszenie w ogóle dotarło.

Ale jednak tak. Około siódmej, prawie równocześnie z recepcjonistką, przyjechał starszawy policjant.

– Komisarz Wielicki, co mamy? – zapytał bez wstępów. Recepcjonistka zupełnie zbladła, gdy od jednej z kucharek przygotowujących śniadanie dowiedziała się co zaszło.

– Mamy ciało – powiedziała rzeczowo Anita. – W basenie.

– Kto ujawnił? Pani? – służbiście spytał policjant, wyciągając notatnik.

Jaworska wyjaśniła, że ciało znalazł kolega zmarłej, Piotr Malik, który około szóstej rano poszedł się wykąpać.

– Tak wcześnie rano poszedł pływać, chciało mu się? – zdziwił się Wielicki. – Dziwne zwyczaje... Kto jeszcze wie o tym zdarzeniu? – dodał, zanim Jaworska zdołała coś wtrącić.

– Na razie tylko my troje, kucharki i recepcjonistka – wyliczała Anita. – Uczestnicy wycieczki jeszcze nie zeszli na śniadanie.

– Dobrze. Przesłucham ich po kolei, a teraz chodźmy na ten basen.

Z pomocą jednego z pracowników technicznych hotelu policjant wyciągnął Bożenę Kwiatkowską na brzeg.

– Rozpoznaje ją pani? – zapytał, a Anita potwierdziła tożsamość księgowej.

– Ktoś ją utopił? – zainteresował się Malik, który niespodziewanie pojawił się przy zwłokach i wpatrywał w napuchniętą twarz ofiary.

– Skąd ten pomysł? – zachnął się policjant. – Na razie sprawdzamy różne hipotezy, także tę, że potknęła się i wpadła do wody.

– Co ona by tu robiła w środku nocy? – zdziwił się Malik.

– A skąd pewność, że to było w środku nocy? – żywo spytał Wielicki.

– Bo już nieźle napuchła – wyjaśnił rzeczowo dyrektor. – Jakby wpadła nad ranem, to by tak nie wyglądała. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ktoś ją wepchnął do wody...

– Dlaczego? Miała wrogów? – zapytał natychmiast komisarz.

– Chyba samych – Anita wzruszyła ramionami. – Nikt jej lubił, podczas przyjęcia kłóciła się ze wszystkimi. Szczerze mówiąc sama miałam jej dosyć. Nic jej się nie podobało, na wszystko wybrzydzała...

– Dobrze – przerwał policjant. – Proszę sobie przypomnieć, z kim się kłóciła najbardziej tego wieczoru. Od nich zaczniemy przesłuchanie. A teraz chciałbym zobaczyć pokój zmarłej.

Wielicki odwrócił się do recepcjonistki i poprosił o telefon. Chciał wezwać grupę techników, by zabrali ciało. Jego zdaniem na razie nic nie wskazywało na zabójstwo, raczej na zwykły

wypadek.

Zagadnięta recepcjonistka nie wiedziała, w którym ostatecznie pokoju miała nocować Kwiatkowska.

– Wzięła trzy klucze, żeby sobie wybrać najlepszy pokój – relacjonowała zdenerwowana dziewczyna. – Nie oddała mi żadnego.

– Dobrze – powiedział Wielicki. – Obejrzę wszystkie trzy, w którymś musiała zostawić swoje rzeczy.

W dwóch pierwszych pokojach nie było ani śladu walizy księgowej. Okazało się, że wybrała ten trzeci, świeżo po remoncie.

Rzeczywiście był najlepszy z nich wszystkich, tylko niemiłosiernie śmierdziało w nim świeżą farbą.

– Co tak cuchnie? – zainteresował się Wielicki, a recepcjonistka wyjaśniała, że ten pokój, zasadniczo, nie był używany, ale pani Kwiatkowska uparła się, żeby go zobaczyć.

– Z żadnego pokoju nie była zadowolona – tłumaczyła dziewczyna. – Najbardziej podobał jej się ten, który dostała ta druga pani, Katarzyna Zastawny.

– Kadrowa – wyjaśniła policjantowi Anita, a on skinął głową i zapisał to w notatniku.

– Pani Kwiatkowska chciała żebym przенiosła panią Zastawną do innego pokoju, i oddała to lokum jej. Ja spytałam tę drugą panią, ale ona kategorycznie odmówiła. Wiem, że się strasznie pokłóciły. Bardzo sobie wymyślały. Słyszałam, bo pokój pani Zastawny jest koło recepcji.

– Co dokładnie mówiły? – zainteresował się komisarz, a recepcjonistka nieco się sploszyła.

– Krzyczały na siebie, naprawdę niezbyt miło... Wołałabym do tego nie wracać... Pani Kwiatkowska sugerowała, że pani Zastawny jest... No jakby to powiedzieć... Kochanką prezesa firmy. W każdym razie tak to rozumiałam... Mówiła: „jak inaczej dostałabyś tę pracę? Przecież nic nie umiesz...”

– I co na to kadrowa? – drążył Wielicki.

– Odpowiedziała: „a co? żal ci?” i wyrzuciła tę panią Bożenę z pokoju. Normalnie otworzyła drzwi i wypchnęła ją na zewnątrz.

Pani Kwiatkowska była bardzo wzburzona, więc dałam jej klucze od trzech pokoi do wyboru i nie nalegałam, żeby szybko się decydowała...

– Ciekawe – powiedział policjant, a Anita tym razem podzielała jego opinię.

Tymczasem wszyscy zeszli już na śniadanie. Jajecznica macerowała się w podgrzewaczach, a bułki wysychały, bo nikt nie miał ochoty jeść. Wiadomość o śmierci księgowej obiegła towarzystwo lotem błyskawicy i wzbudziła pewną nerwowość.

– Widzi pani? – powiedział do Anity Wielicki, gdy tak razem stali w progu, obserwując zbity w stadko tłumek pracowników fabryki gumy. – Nie jest im za wesoło, prawda?

– A dziwi to pana? – odparła Anita, której komisarz, ze swoimi mądrościami rodem z serialu policyjnego dla niezbyt rozgarniętych widzów, działał na nerwy. – W końcu zginęła ich koleżanka, to tragedia, nawet jeśli nie bardzo ją lubili.

– Właśnie. Tu się kryje samo sedno. Dotknęła pani, jakby powiedział Freud, właściwego kompleksu...

Idiota – pomyślała znużona Anita. Ten prowincjonalny glina wyglądał jej na przygłupka od samego początku, ale teraz rozwiął wszelkie wątpliwości.

– Wszyscy jej nie znosili, może więc ktoś jej pomógł utopić się w tym basenie? – szepnął Wielicki triumfalnym głosem.

– Przecież mówił pan, że to wygląda na wypadek – zdziwiła się.

Glina pokręcił głową. – Zobaczymy, co powiedzą lekarze, gdy zbadają ciało. Nie byłbym zaskoczony, gdyby ktoś ją do tej wody wepchnął i przytrzymał jej głowę, by się utopiła. Widziała pani jak tam było czysto? Moim zdaniem, ktoś wytarł okolice basenu do sucha... Najważniejsze teraz, to obserwować ich wszystkich... Wyodrębnić tych, którzy mieli motyw...

– Wszyscy mieli – przerwała Anita. – No może poza panem Sławkiem, piarowcem, bo on jest taki brat łąta, biega z wiśnióweczką i dba o komfort współpracowników.

– I przez to wcale bym go nie wykluczał – stanowczo powiedział policjant. – Kadrowa miała z nią na pewno na pieńku...

– Kłóciła się też z tym od eksportu – przypomniała sobie Anita,

a Wielicki kiwnął głową.

– I ten Malik, który ją znalazł... – myślał głośno policjant – Kolega tamtego drugiego. Mogli ją zabić razem...

– W końcu ja – podsunęła Anita. – Nie znosiłam babsztyla, miałam wyżej uszu jej fochów i ciągłego niezadowolienia. Po prostu grała mi na nerwach.

Policjant spojrział na nią uważnie i wszedł do sali.

Na widok śledczego ucichły rozmowy i wszyscy wpatrzyli się w niego w skupieniu i z trwogą. Anita zauważyła, że Malik zdążył się przebrać w bardziej stosowny strój. Ulżyło jej, bo obawiała się, że zobaczy go w jadalni w szlafroku i czepku.

– Szanowni państwo – zaczął Wielicki, a tłumek poruszył się. – Jak już wiecie, dzisiaj w nocy zmarła państwa koleżanka, pani Bożena Kwiatkowska...

– Zmarła, zmarła – rzucił rozzłoszczony Malik. – Ktoś ją wyprawił na tamten świat...

– Istnieje jak widać sprawiedliwość – sentencjonalnie dodał szef marketingu, Igor Środa.

Wielicki przyjrzał mu się uważnie, więc Środa szybko zrobił jeden krok w tył i schował się za plecami wysokiego dyrektora eksportu.

– Tego na razie nie wiemy – wyjaśnił cierpliwie policjant. – Ale bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości. Przesłuchamy teraz państwa po kolei, hotel udostępni nam jeden pokój, liczę na to, że coś sobie państwo przypomną, może ktoś widział jakąś istotną rzecz ostatniej nocy.

Wszyscy zaczęli kręcić głowami we wspólnym zaprzeczeniu.

– Używał pan liczby mnogiej „przesłuchamy” – powiedziała Anita do policjanta, gdy ten odwrócił się, wydać dyspozycje recepcjonistce, żeby przygotowała miejsce do przesłuchań. – Zjawi się tu ktoś jeszcze z posterunku?

– Nie – odpowiedział Wielicki. – Pani mi pomoże...

– Ja? – zdumiała się Jaworska. – Ja chyba powinnam być świadkiem, złożyć zeznania? Poza tym mogę być jedną z podejrzanych osób, mogłam ją wepchnąć do wody i utopić.

– Wątpię – stwierdził policjant. – Ta kobieta ważyła

z osiemdziesiąt kilo, a panią oceniam najwyżej na pięćdziesiąt. Jest więc pani od niej prawie o połowę mniejsza. Nie wyobrażam sobie, że udałoby się pani utrzymać jej głowę pod wodą... Na pewno by się broniła, więc miałyby pani siniaki lub zadrapania. Nic takiego nie widzę... Uznaję, że miała pani motyw, ale na obecnym etapie śledztwa przyjmuję, że nie miała pani możliwości, by dokonać zbrodni. O ile to oczywiście była zbrodnia.

– Oczywiście – zgodziła się Anita.

Na pierwszy ogień poszła kadrowa, Katarzyna Zastawny, która z całą mocą zaczęła zaprzeczać, że kłóciła się poprzedniej nocy z „nieboszczką”, jak uroczo nazywała Kwiatkowską. Skonfrontowana z recepcjonistką, rzuciła jej tylko złe spojrzenie spod bujnej grzywki i wyznała, że powodem nieporozumienia był hotelowy pokój. Nic więcej. W dalszym ciągu twierdziła, że nie wyrzuciła księgowej za drzwi, a jedynie delikatnie ją wyprosiła, bo „dalsza rozmowa była bezprzedmiotowa”.

– Kłamie – stwierdziła Anita.

– To jasne – zgodził się policjant. – Od innych dowiemy się, o co im naprawdę poszło.

Jak się okazało – miał rację. Wszyscy ochoczo donosili na współpracowników, a co ciekawe każdy był pewny, że Kwiatkowską ktoś zamordował. „Nie umiała pływać i nie lubiła wody” – powiedziała nawet kadrowa, która na poprzednim wyjeździe namawiała ją na aqua park. Anita przypomniała sobie od razu skargi pani Bożeny na „zasyfione spa” w hotelu i uświadomiła sobie, że Kwiatkowska istotnie korzystała wyłącznie z sauny i zabiegów. Piarowiec był pewny, że księgową wykończyła klika dwóch dyrektorów importu i eksportu, którzy próbowali na boku kręcić swoje interesy, a Kwiatkowska im nie pozwalała.

– O to była ta wczorajsza awantura, co pani widziała – pan Sławek zwrócił się do Anity. – Edek Rapacz, nasz szef eksportu, się z nią ściał o faktury za ostatni transport. Oni robili jakieś przekręty na podatku VAT, a ona groziła, że doniesienie prezesowi...

– A pan skąd o tym wiedział? – zainteresował się Wielicki.

Pan Sławek wzruszył ramionami. – Ja dużo wiem, panie komisarzu. Obserwuję. W końcu pośredniczę w kontaktach, nie tylko z mediami, prawda? – I uśmiechnął się w taki sposób, że Anicie przestał się wydawać sympatycznym bratem łątą.

O romansie kadrowej z prezesem też miał sporo do powiedzenia.

– Wie pan, panie komisarzu, prezes to jest facet w latach, on lubi takie kobiety po czterdziestce. Jak to mówią – ryczące. Najpierw się interesował Bożenką, ale później, jak Kasia nastąpiła, to już całkiem stracił dla niej głowę... Ale ta Kaśka, to pan wie, cwana bestia. Ona z nim takie gry uprawiała... Żeby stołek zatrzymać, wie pan... Moim zdaniem tam żadnego romansu nie było, Zastawny na to jest za mądra... Po co ma ryzykować? Ale Kwiatkowska była zazdrosna i wściekła się na Kaśkę. Prezesowi donosiła, że Kaśka mobbinguje pracowników i inne takie, aż jej musiał powiedzieć, żeby zostawiła kadrową w spokoju...

– Czyli mówi pan, że pańskim zdaniem, zazdrość księgowej o panią Zastawną była nieuzasadniona?

– Tak. Jeszcze coś panu powiem – Bożenę to podpuszczał ten Środa z marketingu, bo on Kaśki nie znosi – nie chciała przyjąć do pracy jakiegoś jego kuzyna, powiedziała prezesowi, że po jej trupie. Jakby na Kaśkę padło to morderstwo, to może i sytuacja kuzyna na rynku zatrudnienia by się poprawiła?

– Ten facet mnie przeraża – powiedziała Anita, gdy za piarowcem zamknęły się drzwi.

– No widzi pani – z satysfakcją stwierdził policjant. – A mówiła pani, że on jest poza podejrzeniem.

– Ja w dalszym ciągu go nie podejrzewam, ale ten facet ma po prostu ucho z gumy. Wszystko wie...

– Może nie tyle wie wszystko, ile wszystko potrafi sobie dośpiewać...

Marketingowiec Środa oczywiście próbował skierować podejrzenia na kadrową. Wspomnił wzajemną niechęć obu pań do siebie, plotki o romansie z prezesem.

– Podobno nie lubił pan pani Zastawną, bo nie chciała zatrudnić

kogoś z pańskiej rodziny... – Powiedział cicho Wielicki, bacznie obserwując reakcję.

Środa rzucił się, jakby go ktoś ugodził w tyłek rozpaloną drzazgą.

– Ale to nieprawda! Jakieś plotki! Owszem mój kuzyn startował do pracy, ale się nie dostał, to się zdarza. Zresztą ma już inną robotę, nota bene dużo lepszą...

Ciekawe czy i przez ciebie załatwioną – pomyślała złośliwie Anita. Ten facet niezbyt jej się podobał, ale o morderstwo go nie podejrzewała. Raczej mała gnida i intrygant – powiedziała do siebie w myślach. Taki co zawsze szuka jakiejś grupy wsparcia, żeby kogoś innego wykończyć – w każdej firmie był przynajmniej jeden taki gnojek, ale gdy pojawiało się ich więcej, to sytuacja naprawdę robiła się nieprzyjemna...

Dyrektorzy importu i eksportu zostali przesłuchani jeden po drugim. Malik jeszcze raz ze szczegółami opisał jak znalazł Kwiatkowską w basenie. Widać było, że fascynuje się tą sprawą, i jak inni był przekonany, że księżową ktoś zabił.

– Tylko kto? – zastanowił się policjant.

– Może Antczak? – rzucił Malik, a Anita zajrzała do notatek.

– Piarowiec ją zabił? A za co niby, zagrażała jego karierze w mediach? – zażartowała, a Malik rozzłościł się.

– On różne przekręty robił z oponami. Sprzedawał na lewo z naszej fabryki. Kwiat-kowska go nakryła i groziła, że jeśli nie przestanie, to doniesie na niego prezesowi. I przestał.

– Dlaczego od razu nie doniosła? – zainteresowała się Anita. – Przecież to przestępstwo.

Malik wzruszył ramionami. – Bo wiedziała, że to wazelina naczelnego. Sławek tak się potrafi każdemu przypodobać, że wszyscy go lubią – prezes, ta Zastawny, wszyscy... Tylko Kwiatkowska miała na niego kwity...

– No ponoć na pana także – powiedział śledczy. – Słyszeliśmy o jakichś wyłudzeniach VAT-u...

Malik poczerwieniał na twarzy.

– To wierutne bzdury. Właśnie wczoraj Edek, nasz dyrektor eksportu poszedł z nią pogadać o tej sprawie, wszystko sobie

wyjaśnili.

– Widziałam tę rozmowę – powiedziała Anita. – Nie wyglądała na przyjacielską pogawędkę.

– Nie wiem jak to dla pani wyglądało – rzucił złośliwie Malik. – Ale na pewno sprawa została załatwiona...

– Jakoś nie jestem przekonany, a pani? – zapytał Wielicki, gdy świadek opuścił już pokój przesłuchań.

Pan Edek nie miał wiele do dodania. Twierdził, że ostra wymiana zdań dotyczyła nie sprawy z VAT-em, która była zwykłym nieporozumieniem, a jego sugestii, by księgowa przestała kryć wybryki Antczaka.

– On te gumy ciągle z fabryki wywozi. Tłumaczyłem Bożenie, że razem możemy zadziałać i wtedy prezes się go pozbędzie. Ale ona nie chciała. Odniosłem wrażenie, że coś ją z tym Sławkiem łączy.

– Romans? – zdziwił się Wielicki.

Dyrektor eksportu pokręcił przecząco głową. – Nie, nie romans. Miałem podejrzenia, że on jej odpala działkę. Do tej pory to ona była biedna jak mysz kościelna. A teraz nagle fryzury, ubrania, widzieli państwo, że nawet walizkę miała skórzaną. Pod firmę zaczęła zajeżdżać nowym samochodem... Mówiła, że mąż jej kupił...

– Może rzeczywiście kupił...

– Akurat! Jej mąż uczy wuefu w szkole podstawowej! – pogardliwie stwierdził pan Edek, jakby posada nauczyciela była najgorszym możliwym rodzajem kariery zawodowej.

– Moja żona też uczy wuefu! – zmarszczył brwi komisarz, ale dyrektor eksportu najwyraźniej nie zauważył nadciągającej burzy.

– No to sam pan wie, komisarzu. Bieda aż piszczy! Z pensji nauczyciela można się co najwyżej w second-handzie ubierać, a nie u Deni Cler...

– Tak się składa, że moja żona zarabia lepiej niż ja – wyjaśnił policjant, gdy pan Edek już wyszedł. – Gdyby nie jej pensja, to ja musiałbym się ubierać w second-handzie.

– Mają tam bardzo twarzowe skórzane kurteczki – uśmiechnęła

się Anita. – Tylko nie wiem, jak z mundurami...

– Nie, sorty mundurowe to my dostajemy od MSW, proszę się martwić – roześmiał się policjant, wyraźnie odprężony. – No i co pani myśli?

– A mnie pan nie przesłucha? – zainteresowała się Anita. – Do kompletu?

– Proszę bardzo. Niech mi pani opowie ze szczegółami o tamtym dniu i wieczorze.

Anita opowiedziała więc o problemach z zakwaterowaniem, o wizycie Kwiatkowskiej szukającej lepszego pokoju i nerwowej atmosferze, którą wywołał jej pobyt na dyskotecę po kolacji.

– Jest pani pewna, że wyszła koło jedenastej? – zapytał policjant, zaglądając do notatek.

– Najzupełniej. Posiedziałam jeszcze może z godzinę i poszłam się położyć. Wyglądali na dosyć zmęczonych, miałam nadzieję, że nie dojdzie do żadnych ekscesów, jak widać – myliłam się.

– Rozumiem, że w ciągu tej godziny Kwiatkowska nie pojawiła się więcej na sali?

– Nie – stanowczo odpowiedziała Anita. – Specjalnie zwróciłam na to uwagę, bo prawie wszyscy plotkowali na jej temat, obgadywali ją i na pewno bym zauważyła, gdyby nagle wróciła.

– Ciekawe... – stwierdził policjant. – Jak pani widziała, zadałem każdemu z nich pytanie, czy widział Kwiatkowską po północy i wszyscy zaprzeczyli.

– Najwyraźniej to prawda – uznała Anita. – Pewnie poszła spać.

– Ale w basenie była w garsonce, rzeczywiście od Deni Cler i w butach. Czyli albo się w ogóle nie kładła, albo wstała i ubrała się po raz drugi.

– Możliwe, że się z kimś umówiła nad basenem. Ale przecież był zamknięty od dziesiątej i nikt tam nie powinien przebywać.

– Na basen można się dostać z głównego holu – Wielicki ponownie zerknął do notatek. – Musiała przejść koło recepcji.

– Tylko że recepcjonistki nie było. To ośrodek konferencyjny nie hotel, tu nie ma recepcji całodobowej, bo nikt w nocy nie przyjeżdża... – wyjaśniła Jaworska.

– No właśnie – zamyślił się policjant. – Może ktoś ją wywabił

z pokoju pod jakimś pretekstem...

– Mogła to być na przykład Zastawny, udawała, że chce się zamienić pokojami... – podsunęła Anita.

– Tak, choć to dosyć naciągana hipoteza. Komu chciałoby się wychodzić z łóżka w środku nocy i zamieniać pokojami...

Jaworska wzruszyła ramionami. – Nie znał pan tej zołzy. Ona by się o czwartej rano przeprowadziła, byle postawić na swoim. Zawsze tak robiła: awanturowała się, a jak tym nic nie wskórała, to przychodziła i męczyła... W tym hotelu, gdzie miała pokój ze wspólnym balkonem, to tak długo nudziła, że dostała inny na samym końcu składu, oddzielony od reszty kilkoma pustymi pomieszczeniami...

– Ciekawi mnie coś innego – powiedział policjant, jakby nie słuchając jej słów. – Że ona tyle wiedziała o innych, znała ich sprawki, ale nikomu o tym nie doniosła...

– Lubiała ich trzymać w szachu – stwierdziła Anita pewnym głosem. – Znam takie typy. Szantażystka...

– No właśnie – powiedział Wielicki. – Ciekawe czego żądała w zamian?

– Ja bym chyba chciała pieniędzy – zastanowiła się Jaworska. – Pieniądze są najporęczniejsze...

– Niekoniecznie. Mogła chcieć informacji. I w ten sposób wszystkich miała w garści...

Anita zamyśliła się nad słowami policjanta. Tak, nie ulegało wątpliwości, że Kwiatkowska była powszechnie znienawidzona. Trudno się dziwić – skoro miała haki na wszystkich.

– Ale w takim razie – powiedziała Anita niepewnym głosem. – Każdy miał motyw, żeby ją zabić...

Wielicki roześmiał się triumfalnie. – Właśnie! Widziała pani „Morderstwo w Orient Expressie”?

– Czytałam książkę – stwierdziła Anita dobitnie, patrząc na niego z niechęcią.

– Obojętne – zbagatelizował sprawę policjant. – Tam wszyscy zmawiają się, by zabić amerykańskiego milionera, a tak naprawdę okrutnego porywacza i zabójcę małej dziewczynki...

– No chyba pan nie powie, że tutaj jest tak samo...- zdziwiła się

Anita.

– Kto wie, kto wie... Uczestnicy wycieczki umawiają się, że zabiją księgową. Jest dla nich stałym zagrożeniem, wie coś kompromitującego o każdym z nich. Postanawiają zrobić to tutaj, w ośrodku. Znają panią z poprzednich wyjazdów, wiedzą, że nie lubi pani uczestniczyć w zabawach swoich podopiecznych. Czeka ją aż pani pójdzie spać, na szczęście ma pani pokój w oddalonej części hotelu. Ponieważ jest to ośrodek konferencyjny, jak sama pani zauważyła, recepcja nie działa. Ktoś z nich wywabia Kwiatkowską z pokoju, być może nawet umawia się z nią wcześniej – na przekazanie pieniędzy lub informacji, na której jej zależało. Sprowadza ją nad basen, a tam sam lub z innymi wpycha ją do wody. Starannie zacierają ślady, a rano pan Malik zawiadamia panią, że znalazł ciało.

– Gdyby miał pan rację – zastanowiła się Anita. – To oni raczej udawaliby, że to wypadek, a nie zwalali winę jeden na drugiego.

– To też element gry i taktyka. Kwiatkowska została znaleziona w ubraniu, a nie umiała pływać i nie lubiła wody. Co więc robiła w nocy na zamkniętym basenie? Jeszcze gdyby była w kostiumie, można by podejrzewać, że zapragnęła nocnych nielegalnych kąpiel... Ale tak?

– Ale to by znaczyło, że rzeczywiście musieli ją zabić wspólnie! – wykrzyknęła Anita. – Bo każdy oskarża kogoś innego w taki sposób, że właściwie trudno to traktować poważnie. Wszyscy są podejrzani i zarazem nikt!

– No właśnie, droga pani – zamyślił się policjant. – Zanim jednak wyciągniemy ostateczne wnioski, chciałbym jeszcze raz zajrzeć do pokoju pani Kwiatkowskiej.

Anita popatrzyła na niego zdziwiona, ale posłusznie wstała z krzesła i poszła za komisarzem wprost do pokoju księgowej.

Nikt tu nic nie ruszał, tylko technicy, którzy przyjechali po ciało zdjęli odciski palców. Rzeczywiście księgowej ostatnio poprawiła się sytuacja materialna – w skórzanej walizce starannie poskładane leżały ciuchy najlepszych marek, Anita przerzuciła je z ciekawością. Kosmetyki ustawione w łazience także robiły wrażenie.

– No widać, że jej się powodzi – stwierdziła Jaworska. – Ostatnio nie miała tak dobrych rzeczy. W Międzyzdrojach, rok temu, ciągle chodziła w jednym burym sweterku, aż wszyscy z niej żartowali, że to strój roboczy księgowej...

– No widzi pani – powiedział policjant. – Ale ciekawi mnie coś zupełnie innego. Co tu tak strasznie śmierdzi?

– Chyba ta farba – powiedziała Anita, pociągając nosem. – Niezbyt miły zapach...

– Niezbyt miły? – zachnął się Wielicki. – Dziwię się, jak ona mogła tu wytrzymać...

– Miała katar – wyjaśniła Jaworska, a w tym momencie z korytarza dał się słyszeć głos recepcjonistki:

– Panie komisarzu. Telefon do pana, z komendy.

– Już idę – rzucił policjant. – Pani Anito, niech pani poprosi wszystkich uczestników wyjazdu do jadalni, chciałbym jeszcze raz z nimi porozmawiać.

Jak się okazało nikogo nie trzeba było szukać. Jeden tylko marketingowiec nerwowo palił papierosa na zewnątrz, ale co chwila zaglądał do przedsiionka, by zobaczyć co się dzieje. Anita zawołała go i po chwili wszyscy już siedzieli przy dużym jadalnym stole. Kucharki trzaskały talerzami, bo zbliżała się pora obiadu, na który nikt nie miał ochoty. Kadrowa wykazywała najwięcej spokoju. Założyła nogę na nogę i wpatrywała się obojętnym wzrokiem w dal. Tylko zaciśnięte ręce o pobielających kostkach zdradzały, że jest mocno poirytowana.

– No i co ustalił ten policjant? – zapytał Malik, a Anita wzruszyła ramionami. – Nic mi nie powiedział. Chyba podejrzewa morderstwo.

Poruszyli się.

– Morderstwo? – spytał pan Sławek, a Anita tylko kiwnęła głową. – Że niby ktoś z nas ją zabił? Śmieszne!

– Nie wiem czy śmieszne, ale on najwyraźniej tak sądzi...

– To bzdura – odezwał się Igor Środa. – Nie lubiliśmy jej to prawda, ale żeby od razu mordować... Kupy się to nie trzyma...

Pan Edek Rapacz, dyrektor eksportu, wyciągnął z kieszeni chusteczkę wytarł czoło. – On chyba myśli, że to jakiś

skandynawski kryminał! Spokojni ludzie mają mordować koleżankę z pracy... No to się w głowie nie mieści...

Nikt już nie zdążył odpowiedzieć, bo na salę wkroczył Wielicki z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Czy ktoś z państwa ma jeszcze coś do dodania? Tak na koniec, może ktoś sobie jeszcze coś przypomniał, że na przykład widział panią Kwiatkowską w nocy?

Pracownicy fabryki gumy spojrzeli po sobie.

– Podobno nas pan podejrzewa, tak mówiła pani Anita – wyrwał się Malik, a Wielicki spojrzął na Anitę złym wzrokiem.

– Nic takiego nie powiedziałem, ale dali mi państwo do myślenia...

– My tego nie zrobiliśmy – powiedziała nagle kadrowa. – Ona się na pewno sama utopiła...

– Utopiła się? – zainteresował się Wielicki. – Przecież była w ubraniu i butach na obcasie. Uważa pani, że poszła w tym stroju pływać?

– No nie... Może wpadła przypadkiem... Na przykład spacerowała, poślizgnęła się i nie mogła wyjść – tłumaczyła się speszona Zasadny.

– Ciekawa teoria – prychnął policjant. – Spacerować nad zamkniętym o tej porze basenem, w ciemnościach... Bardzo urokliwe miejsce, że tak powiem...

Kadrowa zamilkła i schowała głowę w ramionach.

Policjant jeszcze raz popatrzył uważnie na uczestników wycieczki.

– Ale mają państwo rację. Nikt z was jej nie zabił. Utopiła się sama...

W sali rozległy się ciche, pełne niedowierzania okrzyki.

– Jak to? – spytała zdumiona Anita, która była prawie pewna, że Wielicki zwołał to zebranie, żeby zdemaskować kogoś z uczestników.

– Są już wyniki sekcji – powiedział policjant. – Substancja, którą pomalowano ściany w pokoju była toksyczna, wpływała na układ nerwowy. Swoją drogą hotel powinien pozwać tę fabrykę farby do sądu. Pani Kwiatkowska najprawdopodobniej źle się poczuła

i wyszła z pokoju. Przypuszczalnie straciła orientację i weszła w zły korytarz, tam łatwo pobłądzić. Chciała wyjść na zewnątrz, trafiła na basen. Wpadła do wody i utopiła się. Głupi wypadek, za który powinna odpowiedzieć fabryka farby...

– To okropne – powiedział Malik. – Jak w ogóle można do czegoś takiego dopuścić? Przecież te farby muszą mieć atesty...

– I zazwyczaj mają... Technicy twierdzą, że w tej było wyjątkowe stężenie szkodliwych substancji. Najgorsze, że nie wiemy, która to fabryka, bo firma remontowa nie przecho-wuje resztek materiałów, a na fakturach mają najróżniejsze farby i nie pamiętają, której akurat używali... Trzeba będzie to dokładnie sprawdzić.

– Niesamowite – powiedziała Anita.

– Tak – stwierdził Wielicki zmęczonym głosem. – To już wszystko, żegnam państwa. Mogą państwo spokojnie zjeść obiad i szykować się do wyjazdu.

– Ale czy nic nam nie grozi? – upewniała się kadrowa. – Tą farbą mogły być wymalowane inne pomieszczenia, choćby kuchnia, a tam przygotowują posiłki...

– Z tego co wiem – cierpliwie wyjaśnił policjant. – Remont zaczęto od tamtego skrzydła i był to pierwszy gotowy pokój. Skoro nikt z państwa tam nie wchodził, nie ma powodów do obaw. Krótkie przebywanie nie powoduje ujemnych skutków, co widać po mnie i pani Anicie...

Skinął głową pracownikom fabryki gumy, uściśnął dłoń Anicie, dziękując jej za pomoc i wyszedł.

Anita usiadła ciężko przy stole i ukryła twarz w rękach.

Pan Sławek poklepał ją po plecach.

– Nie pękaj Anita, wszystko się cudownie udało...

– Tak, cudownie – sarknęła kadrowa. – Cały czas myślałam, że się zorientuje...

– Nie miał szans, za głupi jest – z satysfakcją powiedział Malik.

– To wy jesteście głupi – zdenerwowała się Anita. – Mówiłam, żeby nie wycierać wody koło basenu, bo się zorientuje, że ktoś zacierał ślady. Po prostu wpadła, woda się rozchlapała i sama wyschła. Ale wy nie – kafelki musieliście czyścić...

- Trzeba było wytrzeć - odpowiedziała kadrowa. - Jak ją Piotrek wepchnął, to poleciała z takim impetem, że woda była na ścianach, a na czarnym strasznie widać... Gliniarz domyśliłby się, że coś jest na rzeczy...

- Mówiłem wam - sama by wpadła - powiedział Edek. - Wystarczyło poczekać, ale nie - ty Piotrek nie potrafisz utrzymać nerwów na wodzy...

- Teraz to jesteś mądry - zaperzył się Malik. - Ale kto mi w nocy cały czas mówił, że na pewno się nie uda? No, nerwy mi puściły, to prawda, ale wy nie byliście lepsi... Dobrze, że ten detektyw, psycholog z bożej łaski, sobie tego nie pokojarzył prawidłowo...

- Bezmyślny facet - stwierdził Środa, wyjmując papierosa. - Nie zdziwiło go, że taka bogata firma wyjeżdża na wyjazd integracyjny do tak marnego miejsca na zadupiu, w którym nie ma żadnego porządnego pokoju, ani fachowej obsługi...

- Kryzys jest - przypomniała Anita.

- No, ale przecież nie taki! - roześmiała się kadrowa, a wszyscy się odprężyli.

- I mój kuzyn, Adaś, tak sprytnie się wkręcił do tej firmy remontowej, malującej ośrodek i podrzucił puszkę z toksyczną farbą... A ty go nie chciałaś zatrudnić! - zwrócił się do Zastawny Środa.

- Bo sam przyznasz, że durny jest jak but z lewej nogi - pani Kasia wymownie postukała się w czoło. - Tylko do ekipy remontowej się nadaje. Mam nadzieję, że wyrzucił tę puszkę? Bo coś mi na zbyt lotnego nie wyglądał...

- O to możesz być spokojna - stanowczo powiedział marketingowiec. - Sam o to zadbałem...

- Ale swoją drogą, trzeba było kupić ten ośrodek, łatwiej by wtedy poszło - dodał jeszcze.

- Zgłupiałeś? - zdziwił się Edek Rapacz. - Co byśmy z nim później zrobili? Nic nie wiesz o optymalizacji kosztów...

- Dajcie spokój! Dobrze, że już po wszystkim - podsumował Malik. - Wreszcie się pozbyliśmy tej francy. Mam nadzieję, że zabrałaś papiery z jej walizki - zwrócił się do Anity.

- Tak - odpowiedziała ona, przypominając sobie, jak

przebierała w ciuchach Kwiatkowskiej tuż pod okiem komisarza.
– Ale musicie mi wypłacić coś dodatkowo, bo to się trochę
wymknęło spod kontroli i strachu się najadłam, jak cholera!
– Oczywiście – przytaknął pan Sławek, wyciągając zza pazuchy
butelkę. – No to napijmy się wiśnióweczki. Wiśnióweczka na
takie stresy najlepsza, prawda?



Zimny poranek

Marta Guzowska

*W hołdzie dwóm Wielkim:
Parasolnikowi z Sopotu i Stanisławowi Lemowi*

NO PRZECIEŻ CHYBA widać, że nie umarłem. Czego to ludzie nie wygadują! Umarł za to ten bursztynnik z Gdańska. Przyjechał do Sopotu na wczasy i umarł. A dokładniej, zamarł na śmierć.

No bo ta zima jest straszna, ciągnie się i ciągnie, i końca nie widać. Kto to widział, żeby w marcu było minus dziesięć. Tego nawet taki stary człowiek jak ja nie pamięta. Ale śniegu nie ma. Szkoda. Lubię, kiedy zasłania wszystko, jak skrzydła anioła. Wybaczcie banalne skojarzenie, ale jak będziecie mieli tyle lat, to też częściej będziecie myśleli o aniołach niż o ludziach.

A o tym bursztynniku to potem nawet pisali w gazetach: „znany gdański bursztynnik zmarł w Sopocie w niewyjaśnionych okolicznościach”. Przyczyną zgonu było najprawdopodobniej wychłodzenie. Najprawdopodobniej, tak napisali. A ja sobie myślę, że jak ktoś siedzi na ławce w nocy, kiedy temperatura spada nawet do minus piętnastu, w samych slipkach i skarpetach, to nie jest „najprawdopodobniej”, tylko na pewno.

To ja go znalazłem. Wyszedłem jak co dzień, wcześniej rano, dopiero zaczęło świtać. Tak już się przyzwyczaiłem, że muszę się codziennie przejść, bo bez tego czuję, że umieram. A rano mam najwięcej siły. Chciałem pójść na molo. Nie było wiatru, taki dzień to w marcu rzadkość. Powietrze stało całkiem nieruchome i słychać było tylko cichy, cichuteńki plusk fal, drobnych jak rączka dziecka. I ten zapach: soli, wody i drewna. Jeśli po śmierci pójde do nieba, chcę, żeby tam też był ten zapach.

A tak, miałem o bursztynniku. Andrzej, o właśnie, tak miał na imię. Więc to ja go znalazłem, tego pana Andrzeja. Siedział na ławce na skwerze przed wejściem na molo, koło Latarni.

Najpierw myślałem, że to jakiś żart. Happening, jak to się kiedyś mówiło. Bo on siedział w samych tylko slipach i skarpetach, a na dworze było... A tak, już to mówiłem.

Podszedłem bliżej, powoli, ja już szybko nie chodzę. Położyłem mu rękę na ramieniu i aż dreszcz mnie przeszedł. Był zimny jak kamień. I twardy jak kamień. Skórę miał szaroniebieską, jak niebo w mroźny dzień, a pożyczka, którą sobie zaczesywał na łysinę od lewej do prawej, też wyglądała jak kamienna rzeźba. Nie potrzeba było wielkiego detektywa, żeby wiedzieć, że nie żyje.

Zimno mi się zrobiło. W starym człowieku krew już wolno krąży i od wstania z łóżka czułem się taki jakiś zeszytniały, ale jak dotknąłem tego bursztynnika, to zadrżałem. I poczułem, że jeszcze chwila, a usiądę obok niego i też zamarzną. Ale otrząsnąłem się jakoś. Odwróciłem się i poszedłem do sklepiku Goździkowskiego, bo on najwcześniej otwiera, zadzwonić na komendę. Nie, ja tych telefonów komórkowych nie używam, sensu tego nie widzę. Ale zanim doszedłem, zanim wytłumaczyłem Goździkowskiemu, o co chodzi i zanim wybrałem numer, to już mi powiedzieli, że ktoś inny zgłosił, i że jadą. Więc wróciłem powolutku do ławeczki.

Wszystko wyglądało jak w amerykańskim filmie, bo ten nowy podkomisarz to, trzeba przyznać, potrafi ludzi poustawiać. Jacuś, no wiecie, młodszy Jóźwiakowej, rozwijał właśnie taką taśmę, żeby odgrodzić ławeczkę i siedzącego na niej pana Andrzeja. Rytło majstrował coś przy aparatach fotograficznych i widać było, że czeka aż Jacuś skończy z taśmą i on będzie mógł robić zdjęcia. A ten nowy podkomisarz, jak mu tam... o, właśnie, Rzegota, no więc podkomisarz Rzegota stał obok z założonymi rękami i tylko patrzył. Na tego trupa, który kiedyś był panem Andrzejem, bursztynnikiem z Gdańska.

Podszedłem bliżej.

- Dzień dobry, panie Czesiu - powiedział Jacuś. To zawsze był grzeczny chłopiec, troszkę nieśmiały.

Rzegota odwrócił się, ciągle z założonymi rękami i popatrzył dla odmiany na mnie. Spojrzenie miał takie świdrujące, że można by

się przestraszyć. Ale ja się już nie boję, za stary jestem. Skinął mi krótko głową i z powrotem się odwrócił, żeby patrzeć na tego trupa. Popatrzyłem i ja. Nic się nie zmieniło, dalej siedział na ławce, taki szaroniebieski. Koło prawej ręki miał papierową torebkę, malutką, jak z ziarnem dla gołębi. Nie zauważyłem jej wcześniej. No, ale jak ktoś dobija setki...

Rzegota znowu skierował na mnie to swoje świdrujące spojrzenie i spytał:

– To pan go znalazł?

Pokiwałem głową. Kark miałem jak z drewna i wyszło z tego tylko jakieś takie drgnięcie, ale Rzegota zrozumiał.

– Józwiak! – Jacuś prawie stanął na baczność, jak usłyszał swoje nazwisko. – Jak skończycie z tą taśmą, to przesłuchacie pana...

– Bulczyńskiego – odpowiedziałem mu, bo widać było, że sam sobie nie przypomni. No, ale on u nas od niedawna, już chyba mówiłem.

Jacuś wytrzeszczył na niego oczy.

– Jakiś problem, Józwiak?

– Ale to przecież jest... pan Czesio. Każdy go zna. Pana Czesia mam przesłuchiwać?

Rzegota przeniósł teraz na niego to swoje straszne spojrzenie i pod Jacusiem ugięły się nogi. Żal mi się go zrobiło i postukałem końcem parasola w chodnik.

– Nie ma sprawy, Jacuś – powiedziałem. – Chętnie wszystko opowiem, jak było. Ale wiele do opowiadania nie mam. Wyszedłem rano na spacer, chciałem iść na molo. I nie doszedłem, bo go zobaczyłem. Poszedłem do Goździkowskiego, żeby do was zadzwonić, ale ktoś to już wcześniej zgłosił. I tyle.

– Pan znał ofiarę? – Rzegota doszedł chyba do wniosku, że lepiej sam mnie przesłucha.

– Ofiarę? – zdziwiłem się. – To pan Andrzej został zamordowany?

– O tym zadecyduje sekcja zwłok. Na razie nie można ustalić przyczyny śmierci denata...

– Na mój rozum – przerwałem mu. – To jak ktoś siedzi w samych slipkach i skarpetach na mrozie, to pewnie zamarzał,

nie?

No i nie trzeba było temu policjantowi Rzegocie przerywać, bo szczęka mu najpierw stężała, a potem z boku pojawiła się taka gula, która zaczęła chodzić z lewa na prawo. Zerknąłem na Jacusia. Stał koło trupa, który kiedyś był panem Andrzejem i bał się odezwać.

Rzegota poruszał jeszcze trochę tą gulą, a potem jednak zdecydował się mnie oświecić.

– Mógł zostać zmuszony do rozebrania się i wyjścia na mróz. Sekcja zwłok ustali, czy są ślady przemocy.

– No, ale... – zacząłem, ale Jacuś popatrzył na mnie tak błagalnie, że się zamknąłem.

Rzegota podszedł do ławki i pochylił się, aż nosem prawie dotknął szaroniebieskiego ramienia pana Andrzej, bursztynnika z Gdańska, który przyjechał, żeby umrzeć w Sopocie. Potem się wyprostował i obejrzał na Rytłę.

– Czekacie na coś? – spytał takim tonem, że mnie się jeszcze zimniej zrobiło, chociaż wcześniej myślałem, że już bardziej nie może.

Rytło podskoczył zaraz ze swoimi aparatami, tabliczkami i skalówkami, zaczął wszystko układać i robić zdjęcia, z przodu, z boku, z tyłu, a jakby podkomisarz mu kazał, to pewnie wzbiłby się w powietrze i zrobił jeszcze jedno z lotu ptaka. Rzegota zszedł mu z drogi, schylił się pod taśmą i podszedł do mnie.

– Znał pan ofiarę? – spytał ponownie.

Zerknąłem na Jacusia i odeszła mnie ochota do żartów.

– Trochę – powiedziałem. – Czasem sobie rozmawialiśmy. Na molo, wie pan. Pan Andrzej lubił tu przychodzić.

Rzegota skinął na Jacusia.

– Notujcie, Jóźwiak. – I znowu odwrócił się do mnie.

– Andrzej, a jak na nazwisko?

Pogrzebałem w pamięci, ale znalazłem tam tylko pajęczyny i kurz.

– Nie wiem – przyznałem. – Ale na pewno muszą mieć to zapisane w zakładzie balneologicznym. Pan Andrzej chodził tam na zabiegi.

Rzegota podniósł głowę i obrzucił tym swoim spojrzeniem budynek zakładu.

– Sprawdzimy – powiedział. – Co jeszcze wie pan na temat denata?

– Niewiele, tyle, co mi sam powiedział. Co tam sobie nieznajomi ludzie opowiadają na molo.

– Panie Czesiu, niech pan nie zalewa – uśmiechną się Jacuś. – Panu przecież każdy wszystko opowiada, nawet nieznajomi.

Chciał chyba dodać coś jeszcze, ale zmroziło go spojrzenie Rzegoty. Aż cud, że przy okazji nie zamroziło jeszcze w locie jakiejś mewy. A Rzegota odwrócił się do mnie.

– Opowiadał panu dokładnie, po co tutaj przyjechał?

Wzruszyłem ramionami. Nie powinienem był tego robić, bo prawie od lat mam już zeszywniałe i bolące, a zwłaszcza w taki mroźny dzień. Ale są takie gesty, których człowiek nie może się pozbyć, choćby nie wiem co.

– Trochę mi opowiadał, o kuracji. Że na taką odnowę biologiczną chodził, czy jak to się tam nazywa.

Rytło podszedł i powiedział, że skończył. Rzegota skinął głową, ale nie patrzył na niego, tylko dalej świdrował mnie wzrokiem.

– No i chodził tam codziennie – mówiłem dalej. – Normalny kuracjusz.

– A dlaczego w zimie? – zainteresował się Rzegota.

Chciałem mu odpowiedzieć, że marzec to właściwie wiosna, ale to nie byłoby na temat.

– Mówił coś, że w lecie ma mnóstwo pracy. Turyści i tak dalej. A poza tym poza sezonem ceny w Sopcie są dużo niższe.

Rzegota pokiwał głową, jakbym powiedział mu coś nowego.

– A on po molo często chodził – powiedziała nagle Lepniakowa. Nie zauważyłem, kiedy podeszła. Obok niej stało jeszcze kilka innych osób. Wiadomo, nieboszczyk to atrakcja, zwłaszcza zimą, kiedy nic się nie dzieje.

– Józwiak, odsuńcie ludzi od taśmy – warknął Rzegota, chociaż nikt nie przeszedł na drugą stronę.

– Ja to panu mówię. – Lepniakowa nie dawała tak łatwo za wygraną. W końcu prowadziła toalety przy wejściu na molo,

a niejeden, jak mówiła, chciałby się wysikać bez płacenia. – On dużo po molo spacerował. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Jakby schudnąć chciał, albo coś. – Lepniakowa poklepała się po brzuchu. – Ale przecież szczuplutki był, o, widać. Ale spacerował tak, wiatr czy nie wiatr. Jakby spokoju nie mógł zaznać. Dopiero po śmierci... – Lepniakowa spuściła głos i oczy, żeby podkreślić powagę sytuacji.

– A co tam jest w tej torebce? – zapytałem.

Jacusz podskoczył i rozwinął papier.

– Migdały – powiedziała.

– Józwiak! – warknął Rzegota, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo wtrącił się Goździkowski, który, oczywiście, też nie wytrzymał i przyszedł się pogapić.

– O tak, panie, migdały. Ten pan bardzo je lubił, panie. Codziennie u mnie kupował.

– Tak, tak – pokiwała głową Lepniakowa. – Na molo ciągle je jadł. Tak chodził i jadł, w kółko. Ale taki szczuplutki był.

– Józwiak, niszczyacie dowody rzeczowe – wycedził przez zaciśnięte zęby Rzegota. Gula na jego szczęce znowu się poruszała. Jacusz poczerwieniał.

– A...ale panie podkomisarzu – wyjąkał. – Tu coś jeszcze jest. – I wyjął z torebki buteleczkę z jakimś lekarstwem.

– Con-cer-ta – wysylabizował.

– O – powiedział ktoś za moimi plecami. Odwróciłem się, powoli. Jeden gwałtowny ruch i potem za nic nie mogę się pozbyć bólu z pleców. Musiałem zadrzeć głowę do góry, bo Aneczka Decymalówna zawsze była duża, nawet kiedy jako dziewczynka rzucała piłką na plaży.

– O – powtórzyła Aneczka i wsadziła ręce do kieszeni płaszcza. – To jest metylofenidat. Ritalin, panie podkomisarzu. Używany do leczenia ADHD.

Coś mi się przypomniało. Usiłowałem uchwycić tę myśl, ale sami spróbujcie to zrobić, jak będziecie mieli prawie sto lat.

– A, to to, co miał synek Rokickiej, panie podkomisarzu – wtrąciła Lepniakowa, bo ta kobieta nie potrafi wytrzymać chwili bez gadania. – Że tak latał ciągle w kółko i na lekcjach nie mógł

się skupić. On też jakieś prochy dostawał, ale ja tam nie wiem, jak to się nazywało. – I prychnęła, żeby podkreślić swój stosunek do współczesnej farmakologii.

– To się nazywało tak samo – odpowiedziała jej Aneczka z wysokości swoich metra osiemdziesięciu. Wyjęła ręce z kieszeni i objęła się ramionami. Ja też nagle poczułem, że jest mi strasznie zimno.

– Panie Czesiu, a co pan taki bledziutki? – zainteresowała się Lepniakowa. – Nie powinien pan tak długo stać. Niech pan sobie usiądzie na tej ławeczce, koło nieboszczyka.

Wzięła mnie pod ramię i szarpnęła za taśmę.

– Nie wolno tu podchodzić! – wrzasnął Rzegota.

– No co pan – obruszyła się Lepniakowa. – Pan Czesio ma prawie sto lat, prawda, panie Czesiu? Starszy człowiek nie może tyle stać. Nic panu nie zniszczymy, sam pan widzi, że więcej jak pół ławki wolne.

Podprowadziła mnie i usadziła na wolnym końcu.

– No, niech pan pozwoli nogom trochę odpocząć, panie Czesiu. – Mówiła coś jeszcze, ale nie słuchałem.

– Ritalin – powiedziałem. – I migdały.

Cicho to powiedziałem i nikt nie usłyszał. Zakręciło mi się w głowie, zamknąłem na chwilę oczy. Rzegota opieprzał Jacusia, a Lepniakowa przekonywała go, że nieboszczykowi, to i tak już wszystko jedno, kto koło niego siedzi. Za zerwaną taśmą perorował Goździkowski:

– Aż dziwne, że taki nieodporny na zimno był ten pan. Bo on do tej krykomory chodził, o tu, w zakładzie. To chyba nie powinien być taki na mróz wrażliwy.

– Chyba kriokomory – poprawiła go Aneczka i wydeła wargi. Tak samo robiła, jak była małą dziewczynką, kiedy chciała pokazać, że wszystko wie najlepiej.

I wtedy sobie przypomniałem.

– Panie podkomisarzu! – Próbowałem podnieść się z ławki, ale znowu zakręciło mi się w głowie. Lepniakowa złapała mnie za ramię.

– Niech pan siedzi, panie Czesiu.

– Ale ja muszę...

– Cicho bądźcie – krzyknęła Lepniakowa. Głos to ona miała donośny, przy świętym Jerzym pewnie ją było słychać. – Pan Czesio chce coś powiedzieć.

Wszystkie głowy odwróciły się w moim kierunku.

– Pan Andrzej brał w zakładzie balneologicznym kąpiele siarkowe.

– I co z tego? – warknął Rzegota. Gula koło jego szczęki wydała mi się jeszcze większa.

– No bo to... – zająknąłem się. Rzadko mi się to zdarza. Próbowiałem zebrać myśli do kupy, a one uparcie umykały. – Jak u Lema.

– Ja tam powieści nie czytam – oznajmiła scenicznym szeptem Aneczka. – Jak się prowadzi aptekę, to się nie ma czasu na głupoty.

Chciałem odpowiedzieć, ale nagle zabrakło mi tchu. Lepniakowa pochyliła się nade mną i popatrzyła mi badawczo w twarz. Widać było, że próbuje ocenić, czy już się zbieram do umierania. Odchrząknąłem.

– Była taka książka... – Robiłem wszystko, żeby przypomnieć sobie tytuł, ale im bardziej się starałem, tym bardziej nie mogłem. – Takie morderstwa, które nie były morderstwami, tylko zbiegami okoliczności. Ofiary zażywały ten, no, ritalin, brały kąpiele siarkowe i to wchodziło w reakcję z cyjankiem zawartym w skórkach migdałów. – Urwałem, bo znowu zabrakło mi tchu. Czasami mnie tak zatyka na zmianę pogody.

– No, ja też to czytałem! – zapalił się Jacuś. – Tam coś o katarze było. I te substancje, co oni zażywali, jakoś się ze sobą łączyły i powodowały urojenia, halucynacje i manię prześladowczą. Tamte ofiary też się dziwnie zachowywały, a potem próbowały popełnić samobójstwo. Może i ten pan...

Nie dokończył zdania i znowu się zaczerwienił.

Uśmiechnąłem się do niego, żeby dodać mu odwagi.

– A do tego dołączał się jeszcze hormon w pomadzie przeciwko wypadaniu włosów. A pan Andrzej, sami widzicie. – Wskazałem głowę trupa i jego fryzurę na pożyczkę.

– Ależ panie Czesiu – zaprotestowała Aneczka, tym razem pełnym głosem. – Co pan za bzdury opowiada. Teraz już się nie stosuje hormonalnych...

– Ty tak do pana Czesia nie mów! – ofuknęła ją Lepniakowa. – Twojej matce mięso załatwiał, jak na kartki było, to dzięki niemu taka duża urosłaś.

– Cisza! – wrzasnął nagle Rzegota. Złapałem się za serce, tak się przestraszyłem. Lepniakowa koło mnie też podskoczyła.

– Cisza! – krzyknął jeszcze raz. – Wszyscy cisza!

Nikt nie powiedział słowa.

– Co wy mi tu za głupoty pieprzycie! Jaki Lem, jakie migdały? Może sami w ogóle to śledztwo poprowadzicie, co? Bo widzę, że policja wam niepotrzebna!

Nikt nie odpowiedział, bo nie bardzo było co.

– Rytło, jak skończyliście, pakujcie te manele, ale już! A wy, Józwiak, rozciągnąć z powrotem tę taśmę i pilnować, żeby nikt za nią nie włąził. Jeśli zobaczę, że nie dopilnowaliście, dostajecie naganę z wpisaniem do akt. Starszego pana przesadzić na inną ławkę, w tej chwili, słyszycie?

Jacusz poczerwieniał jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe. Żał mi się go znowu zrobiło, co jest w końcu chłopak winien, że ma dobre serce. Podniosłem się, powolutku. Lepniakowa podtrzymała mnie za ramię.

– Migdały, rany boskie! – W ustach Rzegoty zabrzmiało to jak przekleństwo. – A tak przy okazji, panie Czesławie, cyjanek jest obecny tylko w skórkach gorzkich migdałów, a te w torebce nieboszczyka są słodkie. A i tak musiałby chyba zjeść parę kilo, żeby się otruć.

– Właśnie to samo chciałam powiedzieć – zauważyła Aneczka i skrzyżowała ręce na piersi.

Rzegota parsknął i ruszył w stronę radiowozu. Ale w połowie drogi jeszcze się odwrócił.

– Fakty, naukowe fakty! Przyczynę zgonu ustali patolog. – Zamachał rękami, jakby chciał się postukać w głowę, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. – I na pewno nie będą to żadne cholerne migdały, za to ręczę! Co najwyżej

przedawkowanie leków. Albo wódka. Albo jedno i drugie. I w rezultacie utrata świadomości i wychłodzenie organizmu! Naukowe fakty! Macie czekać na ekipę, Józwiak, jasne?!

Ostatnie słowo prawie wypluł. Poszedł prosto do radiowozu, a Rytyło pobiegł za nim. Żaden się nie obejrzał, nawet przy wsiadaniu.

Nikt się nie odezwał, dopóki nie odjechali.

– Rany, ale zimno. – Jacuś zatupał w miejscu.

– I po to kazał mi pan tę torebkę z migdałami koło trupa położyć? – Goździkowski pokręcił głową. – Ja myślałem, że z pana poważny człowiek, panie Czesiu, a pan znowu zaczyna wydziwiać. Że niby jakiś pisarz i te nieboszczyki, co to im się jakieś te substancje ze sobą wiązały. Sam pan widział, jak Rzegota zareagował. – Pokręcił głową jeszcze raz, żeby mi pokazać, co o tym myśli.

– A ja w ogóle nie rozumiem – naburmuszyła się Aneczka. – Po co pan Goździkowski mówił o tej kriokomorze. A gdyby Rzegota się zorientował?

Nie zorientowałyby się, chciałem powiedzieć, jest tu nowy, ale Lepniakowa mnie ubiegła. Ta kobieta kiedyś samego diabła przegoni.

– Ty lepiej nie gadaj, Aneczko – obruszyła się. – Sama mówiłaś, żeby lekarstwo podrzucić i co, nic to nie dało.

– Ritalin przedawkowany wywołuje często halucynacje. Ten pan – wskazała podbródkiem pana Andrzeja, bursztynnika z Gdańska, który przyjechał do Sopotu, żeby umrzeć – mógł wziąć za dużo i wyjść na dwór w samej bieliźnie, bo mu się mogło wydawać, że jest lato. Tylko pan Czesio niepotrzebnie coś powymyślał ... – Aneczka miała jeszcze więcej do powiedzenia, ale Lepniakowa popatrzyła na nią groźnie.

– Dajcie spokój – powiedziałem. – Najważniejsze, że mu czapkę pamiętałem zdjąć. I rękawiczki. Gdyby Rzegota zobaczył nieboszczyka w czapce, rękawiczkach, skarpetach i kapielówkach, i do tego jeszcze w maseczce na twarzy, to od razu by to skojarzył z kriokomorą. Tylko tam ludzie tak wchodzą. A tak...

– A gdzie jest Frąckowiak? – zainteresował się nagle Goździkowski. Rozejrzył się po placu. Nikogo nie zobaczył, zimno było i ludzie siedzieli w domach. – Narozrabiał, ale pomoc to nie pomoże.

– No! – przytaknęła z zapałem Lepniakowa. – Ile to ja mu już razy mówiłam, że jak idzie po skończonej robocie do domu, to niech sprawdza, czy tam w tej krykomorze ktoś nie został.

Zerknąłem na Aneczkę. Ochotę poprawienia Lepniakowej miała wypisaną na twarzy, ale chyba się bała.

– Dobrze, że chociaż pomógł mi go tu przytachać – powiedział Jacuś i chociaż raz się nie zaczerwienił.

– Mów z szacunkiem o nieboszczyku, Jacuś – upomniałem go. – Wszyscy kiedyś pójdziemy do ziemi.

– Ale z tymi migdałami to naprawdę nie był najlepszy pomysł, panie Czesiu. – Lepniakowa popatrzyła na mnie krytycznie. – Trochę to za bardzo pokręcone, na mój gust, eee. Trzeba było flaszkę przy nim postawić. Wyszłoby, że się upił i wyszedł na mróz w bieliźnie, w to już łatwiej uwierzyć.

– Ale sekcja by wykazała, że on alkoholu do ust nie brał – broniłem się.

– To i wykaże – odparowała Lepniakowa – że tych proszków też nie zażywał.

– Ritalin jest bardzo szybko wydalany z organizmu. – Aneczka zadarła podbródek do góry. – Jak sekcja nic nie wykryje, to patolog wytłumaczy Rzegocie, że nieboszczyk musiał wziąć lek wcześniej niż dwadzieścia cztery godziny...

Nagle zbladła.

– Cholera jasna! – Nie powstrzymało jej nawet spojrzenie Lepniakowej. – Cholera jasna, ale ze mnie idiotka! Ritalin można wykryć we włosach do dziewięćdziesięciu dni po zażyciu. Jesteśmy w dupie!

– Jak ty mówisz, dziewczyno! – zasyczała Lepniakowa i dopiero wtedy do niej dotarło, co Aneczka właściwie powiedziała. I aż się za głowę złapała.

– No i co my zrobimy? – wyjęczała. – Przecież teraz to nas wszystkich wsadzą.

– Pani Lepniakowa. – Jacuś po raz kolejny się zaczerwienił. Nie ma chłopak łatwego życia z tym rumieńcem, oj nie ma. – Pani się nie martwi. Ja to załatwię.

Lepniakowa oderwała ręce od czapki i spojrzała na niego.

– Ty, Jacuś? A niby jak?

– N-no b-bo... – Jacuś zaczął się jąkać. – B-bo ja mogę tam podmienić te dane w komputerze. A jakby przyszedł jakiś dokument z prosektorium, to się go po prostu zgubi.

W oczach Lepniakowej pojawiły się łzy.

– Jacuś, jakie ty jesteś dobre i kochane dziecko. No chodź – wyciągnęła ramiona – daj się starej Lepniakowej ucałować.

Twarz Jacusia osiągnęła barwę niespotykaną w przyrodzie o tej porze roku. Musiałem coś powiedzieć, żeby go ratować.

– Ale z tym Frąckowiakiem to trzeba będzie coś zrobić. Pilnować go, czy coś. – Spojrzałem ponad bezlistnymi drzewami na komin zakładu. – Bo on poza sezonem, jak jest mało kuracjuszy, często zostaje sam na ostatnią zmianę. A przecież wiadomo, jaki on jest. Fakty to fakty, jak mówi pan podkomisarz, ale człowiek pozostaje przecież tylko człowiekiem.

– Wszyscy tu jeszcze pamiętają – weszła mi w słowo Lepniakowa, która otarła już łzy wzruszenia i wróciła do zwykłej formy. – Jak Frąckowiak własnego dzieciaka w autobusie zostawił. Dobrze, że kierowca był nasz, z Sopotu, to się szybko zorientował i odwiózł. Jakby się o tym Frąckowiakowa dowiedziała, toby mężowi nogi powyrywała.

– A w zeszłym roku? – Jacuś aż podskoczył w miejscu. – Skąd był ten facet?

– Z Bydgoszczy – odpowiedział mu Goździkowski.

– No! I tak samo było. Na szczęście wcześniej się zorientowaliśmy i zdążyliśmy go ubrać i do lasu wywieźć. Szkoda, że teraz nie było czasu.

Pokręciłem głową raz i drugi. Lepniakowa od razu zauważyła.

– No, niech pan już się nie martwi, panie Czesiu, tą sekcją. Na pewno wyjdzie, że nieboszczyk z zimna umarł, przecież tak było.

– Nie, ja tylko... Człowiek się starzeje.

Wyciągnąłem z kieszeni czapkę i parę rękawiczek. Podałem je

Jacusiowi.

– Może ci się przydadzą – powiedziałem. – Bo pewnie jeszcze trochę tu postoisz.

– Uch, dziękuję panie Czesiu. – Jacuś od razu naciągnął czapkę na głowę. – Zimno dzisiaj, jak nie wiem co.

A ja poczułem, że idzie wiosna. Stary człowiek potrafi wyczuć takie rzeczy.



AGNIESZKA KRAWCZYK – pisarka z Krakowa, zakochana w swoim mieście. Dwukrotna laureatka konkursu na opowiadanie kryminalne organizowanego w ramach Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu (2009 i 2010), laureatka konkursu na felieton literacki portalu niedoczytania.pl (2011), laureatka konkursu na opowiadanie o miłości serwisu Duże Ka i kanału telewizyjnego Zone Romantica (2012). Autorka czterech powieści wydanych nakładem wydawnictwa SOL: *Napisz na priv* (2009), *Magiczne miejsce* (2010), *Morderstwo niedoskonałe* (2011), *Dziewczyna z aniołem* (2012). Pierwsze dwie książki to zabawne powieści obyczajowe, trzecia – kryminał na wesoło w typie wczesnej twórczości Joanny Chmielewskiej, zaś ostatnia to powieść sensacyjno-kryminalna osadzona w realiach Krakowa lat 50. Współautorka trzech tomów opowiadań kryminalnych: *Zatrute pióra* (Replika 2012), *Mordercze miasta* (Szara Godzina, 2012) oraz *Kryminalny Wrocław. Mroczne przechadzki po mieście*

(Oficynka, 2013). Najnowsza powieść, mocny kryminał osadzony w realiach Krakowa w czasie II wojny światowej pt.: „*Noc zimowego przesilenia*” ukaże się w kwietniu 2014.

Jako dziennikarka współpracuje z dwumiesięcznikiem IK Magazine. Z wykształcenia teoretyk literatury, z zamiłowania – pisarka. Jak na prawdziwą miłośniczkę kryminałów przystało, posiada pokaźny zbiór sensacyjnych i jednocześnie śmiesznych artykułów z gazet oraz humorystycznych nekrologów. Jedną z współzałożycielek grupy pisarskiej Zbrodnicze Siostrzyczki.

Strona autorska www.agnieszkakrawczyk.pl



MARTA GUZOWSKA – archeolog i pisarka. Od ponad 15 lat pracuje w Troi, na legendarnym stanowisku odkrytym przez Heinricha Schliemanna (i, niestety, gruntownie przez tegoż zniszczonym). Prowadzi też badania archeologiczne na terenie Grecji.

Opublikowała powieść kryminalną „Ofiara Polikseny” (W.A.B. 2012), uhonorowaną Nagrodą Wielkiego Kalibru, oraz jej kontynuację „Głowę Niobe” (W.A.B. 2013). Jest autorką opowiadań w zbiorach: „Mordercze Miasta” (Szara Godzina 2012) i „Kryminalny Wrocław. Mroczne przechadzki po mieście” (Oficynka 2013). Obecnie pracuje nad kolejnym tomem przygód antropologa Maria Ybla pod roboczym tytułem „Wszyscy ludzie przez cały czas”.

Marta Guzowska jest współzałożycielką grupy pisarskiej Zbrodnicze Siostrzyczki.

Śmierć to dopiero początek, a niektórym ze śmiercią do twarzy...

Odwiedź stronę zbrodniczesiostrzyczki.pl



Zapraszamy!